

# WSPOMNIENIA O ZOFII KOWALEWSKIEJ

NAPISAŁA

MARYA MENDELSONOWA

35541









WSPOMNIENIA  
O ZOFII KOWALEWSKIEJ













MARYA MENDELSONOWA

WSPOMNIENIA  
O ZOFII KOWALEWSKIEJ

355

116

KRAKÓW 1911  
KSIĘGARNIA D. E. FRIEDLEINA

116



35541

---

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

K.  
28.10.67  
A. 332/67  
lu.

<http://rcin.org.pl>



**P**rzez całe dziesiątki lat Marya Mendelsonowa wyciekiwała możliwości powrotu do kraju, aby pracować i żyć wśród swoich. Jeszcze kilka lat temu, wśród straszego smutku z powodu utraty brata, samotna i chora, przeżyła w kraju niemal trzy miesiące „nielegalnie“, czyniąc starania, robiąc zabiegi, jeżdżąc z Warszawy do Petersburga, by dla siebie i dla męża otrzymać pozwolenie „legalnego“ w kraju pobytu. Tej chwili upragnionej nie doczekała się. Dnia 22 Września 1909 rozstała się z życiem na ziemi polskiej wprawdzie, bo we Lwowie, lecz w tym Lwowie właśnie, gdzie nie przestała odczuwać wygnania, gdzie czuła się banitką w dziedzinie kultury i prawdy, które umiłowiała, — banitką w zakresie wszystkiego, co upiększa życie. Podczas długich miesięcy niszczącej choroby nieraz z westchnieniem stawiała sobie pytanie: „kiedyż będziemy w stanie opuścić Lwów?“ I nie dziw, że pytanie to stawiała: atmosfera miasta, w którym jej oczy zamknięto, nie mogła odpowiadać tej wybranej naturze, — otoczenie całe, w którym żyć była zmuszona, pozostało jej obcem. Zrozumiemy to łatwo, gdy przy pomocy kilku faktów biograficznych, kilku psychicznych rysów, kilku wynurzeń zapoznamy się bliżej z autorką wspomnień o Zofii Kowalewskiej.

Wśród papierów zmarłej znalazł się rozpoczęty, a niedokończony list, w którym Marya Mendelsonowa podaje

o sobie kilka szczegółów. List pisany jest do przyjaciela, Anglika, mieszkającego obecnie w Toronto, w Kanadzie:

„Drogi doktorze C..... X

„Jestem rzeczywiście bardzo chora, co mi przypomina, że, zanim będzie za późno, powinnam dotrzymać słowa, które dałam Panu w jednym z poprzednich listów. Nie powiem, abym czuła się już umierającą, lecz lekarze tutejsi zdolni są istotnie do zabicia pacyenta, tak jak ja posłusznego. Teraz naprzykład trzymają mnie w łóżku, bogowie wiedzą poco! Czuję, że świeże powietrze byłoby dla mnie zbawienne, — o tem jednak słyszeć nie chcą.

„Nie na to wszakże wzięłam pióro do ręki, by mówić o zdrowiu mojem: chcę odpowiedzieć Panu na Jego zapytanie, chcę objaśnić, w jaki sposób zostałam agitatorką w sprawie społecznej i narodowej reformy.

„Agitatorką w sprawie reformy stosunków narodowych? W e 11 — jestem Polką i młodość moja płynęła podczas powstania z 1863 roku.

„Pan wie przecież, że Polacy wogóle odznaczają się miłością Ojczyzny i że każdy Polak żyje nadzieją i cierpieniami swego narodu. W okresie 1863 r. byłam jeszcze dzieckiem, lecz dzięki nerwowemu swojemu temperamentowi nie mogłam nie odczuwać, że naokoło mnie dzieje się coś straszego. Rodzice moi dokładali wszelkich starań, by agitacja patryotyczna nie dotarła aż do mnie, ale były to starania bezowocne. Nie mogłam przecież nie widzieć urzędnika policyjnego, który nachodził dom i często nieproszony zjawiał się nawet w czasie obiadu. Wtedy zasiadał do stołu, na nic nie zwracając uwagi. Takie wizyty powtarzały się podówczas nieraz i dzień w dzień, przez tygodnie całe.

„Po obiedzie urzędnik ten włóczył się poprostu po całym domu, jak gdyby to był dom jego własny. Bywało, że podczas tych pielgrzymek po domu i ogrodzie spotykał się ze mną, sam na sam: wtedy brał mnie na kolana, bawił się, jak zwyczajnie z dzieckiem, obiecywał zabawki



i słodczy z miasta, a jednocześnie pokazywał mi fotografie różne, rozpytując, czy czasem kogoś nie poznaję... Odpowiadałam zawsze, że nie znam nikogo i instynkt raczej, nie zaś zrozumienie sytuacji, wiódł mnie w ten sposób do spełnienia obowiązku milczenia. Przytaczam te fakty, aby Pan mógł zrozumieć wstręt moralny, jaki te prześladowania budziły.

„Po powstaniu różne prawa i stany wyjątkowe spadły na polskich mieszkańców ziemi, na której się urodziłam...“ (na Ukrainie, w powiecie kaniowskim, gubernii kijowskiej, we wsi Rotmistrzówka). „Do dziś dnia Polakom wzbroniony jest udział w służbie państwowej; tam, gdzie się urodziłam, nie mieli prawa kupowania ziemi, ani nawet rozporządzania się własnością ziemską w testamencie...



„Kwestya społeczna? Mój ojciec był wielkim właścicielem ziemskim i posiadał około tysiąca „dusz“ — jak wyrażano się u nas, bo urodziłam się jeszcze za czasów poddaństwa. Matka moja była przekonana demokratycznych. Jej małżeństwo z moim ojcem było to w całym znaczeniu tego słowa małżeństwo z miłości. Matka moja była nauczycielką w domu mego dziada, który synowi swemu — memu ojcu — zabronił pod grozą klątwy ożenić się tak „nizko“. Ojciec mój nie poddał się i wolał się raczej narażić na przekleństwo ojcowskie. Wątpię, czy Pan potrafi zdać sobie sprawę z całej tragiki, jaka stąd wyniknęła: —

jeśli się chce ocenić należycie zarówno sytuację, jak i odwagę okazaną przez mego ojca, trzeba wziąć pod uwagę ówczesny światopogląd konserwatywny w stosunkach rodzinnych i światopogląd religijny naszego kraju. Zaznaczę tu zaraz, że matka moja była osobą wysoce wykształconą; wysmienicie była obznajomiona z literaturą francuską; będąc pojęć religijnych, miała jednocześnie ów polot ducha, jaki dała jej znajomość filozofów z końca XVIII wieku. Jej poglądy na poddaństwo, na sprawy społeczne i ludzkie były na wskroś humanitarne. Miałam przytem brata, jedyne go brata, starszego odemnie o lat ośm, który został wysłany do szkół wyższych w Petersburgu. Ze stolicy państwa przywoził on do domu poglądy nowe, pewien powiew rokoszu, który przemawiał do mego temperamentu, zgadzał się z mojem wykształceniem francuskim i był w harmonii z mnóstwem innych czynników psychicznych mego rozwijającego się właśnie życia...“

Przerywamy na chwilę list, by uzupełnić opowiadanie zmarłej. O wpływie matki — Dominiki z Kwiatkowskich — wiemy już. Ręka w rękę z tym wpływem szedł urok, jaki wywierały na młodą duszę opowiadania starego żołnierza napoleońskiego, który kształcił w języku francuskim Aleksandra Zaleskiego, brata młodej Maryi. Był to starzec, który przeszedł z Napoleonem przez Europę całą i stawał z Bonapartem u stóp piramid. W szeregi obrońców „zagrożonej republiki“ wciągnął się, mając lat 16. Zakończył zaś swą karierę wojskową w r. 1812, gdy, wzięty do niewoli, zesłany został na Sybir. Po powrocie z zesłania i po tułaczce w głębi Rosyi, wciąż ku Zachodowi się zbliżając, zatrzymał się wreszcie w Rotmistrzówce. Tu dla opowiadań swoich znalazł chętnych słuchaczy, tu znalazł zrozumienie dla swej Francyi z końca XVIII stulecia, tu znalazł młode umysły, śledzące za pochodem wielkiego wodza, wielkiej armii i jeszcze większej idei francuskiej. W Rotmistrzówce też zmarł stary wojak. Już nie miał sił wracać do kraju. Umarł, patrząc na własnoręcznie naszkicowaną



węgłem na ścianie mapę Europy, tej Europy, którą w pochodach wojskowych poznał. Nieraz Marya Mendelsonowa opowiadała o starym swoim nauczycielu, o człowieku, który uczył ją nie tylko języka francuskiego, lecz i zwycięstw pierwszej republiki. Przeżywając jeszcze raz i znowu wrażenia z lat dziecińczych, umysłem logicznym i syntetycznym wiązała je w całość. I w zadumie recytowała pocichu „Dwóch grenadyerów“ Heinego, akompaniując słowom ulubionego poety akordami Schumanna. „Der Kaiser, der Kaiser gefangen!“ Był to dla niej zapewne krzyk bólesci, krzyk serca, którego ideały wyrwano i uwięziono kędyś, jak oto cesarza na skale św. Heleny. Było to dla niej jakby powtórzeniem wielkiej legendy o Prometeuszu, który po zwyciężkach bojach i wawrzynami z ognia splecionymi okryty, jednak zwyciężony jest i więźniem się staje wiecznym twardych jak rzeczywistość skał...

Odmiennej pokroju człowiekiem był ojciec Maryi, Wincenty Zaleski. Oficer gwardyi cesarskiej za czasów Mikołaja I, zachował prostotę i konserwatyzm żołnierza — „sans peur ni reproche“. Żelaznej przytem woli, lojalnego serca, przecierpiał dwie w życiu swoim tragedye. Jedną znamy; przejść ją ułatwiło mu szczęście, jakie znalazł w domu, własnymi rękami wzniesionym. Druga tragedia była publicznej natury. Trzeba mu było nieraz pogodzić swój konserwatyzm i lojalizm żołnierza z uczuciami dobrego Polaka, którym był zawsze. Ale i w tej walce znalazł Wincenty Zaleski pomoc w samym sobie.

Posiadał jedną z najrzadszych u nas cnót: odwagę cywilną. Ze zdaniem swem nie taił się, podszeptom słabości przy wypowiedaniu swych poglądów nie ulegał. Potępił wprawdzie ruch zbrojny z 1863 r. otwarcie, w żadne kompromisy z własnem sumieniem nie wchodząc, z drugiej jednak strony był nie tylko człowiekiem religijnym, ale szczerze wierzącym. Spełniając więc swe obowiązki „chrześcijanina i sąsiada“ — jak się sam wyrażał — spieszył z pomocą ludziom wtedy, gdy inni — owe tak liczne u nas



typy „pół-dziewic“ obowiązku i wierności — usuwali się, myśląc tylko o sobie. Z gromady polskiej Wincenty Zaleski nie wychodził. Gdy władze chciały go zwolnić od kontrybucyi, nałożonej na właścicieli polskich, Wincenty Zaleski, przypiąwszy order św. Jerzego, udał się do Kijowa, by zaprotestować, by silne swe postanowienie niesienia ciężarów wraz ze swoją gromadą zająć. Gdy mu proponowano przywilej nabywania ziemi, oświadczył, że nie chce grać wobec władz roli „wyjątkowego“ Polaka. Indywidualną cechą swoją, silną wolę zachował wobec wszystkich. Wyjątkowo, i to już znacznie później, okazywać umiał słabość wobec... własnej i jedynej córki. I nie dziw, bo wolę swoją jej przekazał, bo w córce poznawał tę samą, swoją wolę, przed którą się ugiął.

Wreszcie współtwórcą atmosfery moralnej, wśród któ-



rej wychowywała się Marya Zaleska, stał się z czasem jej własny brat, Aleksander. Wysłany do Petersburga, do „lyceum prawowiedow“, młody Aleksander, zamierzony w naukach przyrodniczych, niebawem przeniósł się do uniwersytetu. W stolicy państwa rosyjskiego panował wtedy niezwykły ruch. Wystąpiło na arenę młode pokolenie, pełne zapędu, ale i wiedzy. Zdało się, że cisza mi-



kołajewska, poprzedzająca okres reform Aleksandra II, uświetniała dojrzewanie tego pokolenia, jakie po 1860 r. wystąpiło na scenę życia rosyjskiego. Ale bezwzględna cisza ta spowodowała także i to, że się owo młode pokolenie z życiem i rzeczywistością liczyć nie umiało. I skądby nabrało tej wprawy, skoro tętna życia nie widziało, skoro rzeczywistość pokryta była zasłoną milczenia?

Dla młodego Zaleskiego to, co słyszał w Petersburgu, nie było nowinką. W domu rodzicielskim zdobył wykształcenie, które go przysposobiło do nowych, do wszelkich „prądów myśli“ należycie. Wir życia uniwersyteckiego porwał go. Jednocześnie wszedł w bliższe stosunki nie tylko ze swymi rówieśnikami, ale i z Dobroliubowym oraz Czernyszewskim.

Jak wiadomo, manifestacje warszawskie z 1861 roku miały oddźwięk wśród rosyjskiej młodzieży uniwersyteckiej. Podczas jednej z manifestacji petersburskich Aleksander

Zaleski został uwięziony. Kilkomiesięczny areszt w twierdzy petropawłowskiej tak nadwreżył zdrowie więźnia, że musiał być wypuszczony na wolność. Dopiero kilkoletni pobyt zagranicą w celach leczniczych uratował mu życie. Wtedy to między bratem a siostrą powstała ta przyjaźń, która i w światopoglądzie Maryi wyrzeźbiła niezatarte ślady.

A teraz wróćmy do przerwane go listu Maryi Mendelsonowej:

„Wysłałem za mąż“ — (za s. p. Władysława Jankowskiego) — „w 16-ym roku życia; taką była wola mego ojca. Mąż mój był znacznie odemnie starszy, równie bogaty, a może i bogatszy od mego ojca. Wydawaliśmy na „dom“ od 8 do 10 tysięcy funtów sterlingów rocznie. Pan J. był wielkim właścicielem ziemskim. Jeżeli Panu powiem, że nasz dom wiejski składał się z 30 z górą wielkich pokoi, które wymagały obsługi 34 ludzi, — że mieliśmy wielką stadninę i duży park ze wspaniałymi oranżeryami, to Pan sobie uprzytomni znaczne estate angielskie z jego mansion. Zimą przepędzałam w mieście, uczęszczając na bale, prasa zaś omawiała moje toalety. I ja sama byłam niemi zajęta, bo pamiętam, że nieraz, w czasie zimy, budziłam się w nocy, by spieszyć zanotować jakiś pomysł co do nowych i nadzwyczajnych toalet.

„Niemniej życie to męczyło mnie i nie dawało zaspokożenia. Właśnie wtedy wybuchła wojna franko-pruska, po której nastąpiła, jak wiadomo, komuna. Za przebiegiem obu walk śledziłam z gorączką.

„Miałam już wtedy dwóch synów, licząc sama zaledwie 19 lat, lecz nie wolno mi było zajmować się ich wychowaniem według mojej myśli. Teściowa i trzy moje szwagrowe (stare panny) mieszkaly z nami: wtrącały się do wychowania dzieci. W ciągłym pobudzeniu, przy pustce życia, skierowałam me siły ku samej sobie, kształcąc się, usiłując zaabsorbować się czytaniem, przerzucając się z jednego przedmiotu na drugi i pochłaniając wszystko, co mo-



głom dostać. Sama nauczyłam się języka rosyjskiego i cudna literatura rosyjska pociągnęła mnie. Książka Proudhon'a „Les évangiles annotés“ wprowadziła mnie na drogę agnostycyzmu. A jednocześnie bardzo licha i wsteczna książczyna p. t. „Paris brûlé par la Commune“ rozpalila moją wyobraźnię. Miałam słabe pojęcie o kwestyach ekonomicznych. Jeśli czułam, że sympatye me są raczej po stronie komunardów, to rozumiałam, że przedewszystkiem oburza mnie dzika przeciw nim reakcyja.

„Na wstępie tylko co wspomnianej książczyny był krótki i wrogo napisany szkic o Międzynarodowce. Sam fakt istnienia takiego stowarzyszenia był dla mnie objawieniem. Pan, panie Doktorze, poznał mnie już jako starą, zrównoważoną (?), panującą nad sobą kobietę, ale w 20-ym roku życia byłam szaloną głową. Dowodem czego jest namiętność, z jaką rzuciłam się podówczas znowu do pracy umysłowej, a przedewszystkiem do studyów ekonomicznych. Otóż, przeczytawszy nowy rozdział Ekonomii politycznej Mill'a, pewnej nocy i to cudnej nocy letniej zastanawiałam się nad rzeczą przeczytaną. W głowie roily się myśli i układał mi się następujący syllogizm: Bogactwo jest rezultatem pracy. Ci, którzy nie pracują, są ciężarem dla ogółu... Dalej już w gorączce niemal snułam myśl moją: Więc jestem ciężarem dla społeczeństwa, bezużytecznym ciężarem, gdyż nie mogę nawet wywierać wpływu na wychowanie mych dzieci. Jaka z tego korzyść, że żyję? Im prędszej zniknę, tem będzie lepiej! Przyszli mi na myśl starzy Rzymianie, to co z książek wiedziałam o ich tak częstej śmierci przez przecięcie żył... Przy pomocy nożyka, który miałam pod ręką, uczyniłam to samo. Popłynęła krew i doznałam przyjemnego uczucia. Czułam, że mdleję. Przebudziwszy się, odczuwałam wstyd. Byłam śmieszna w mych własnych oczach. ...Wtedy, gdy tak ciężko chorowałam w Londynie, chciałam raz pokazać Panu ślady cięć, jakie sobie zadałam, ale... zawstydziałam się.

„Jednocześnie pracowałam pilnie nad medycyną. Prze-

robiłam całą osteologię i histologię, pracując z mikroskopem Harnacka. Poznałam anatomię, a potem przy pomocy książek zajęłam się leczeniem włościan na wsi. Myśl o Międzynarodowym Stowarzyszeniu Pracujących nie opuszczała mnie wszakże ani na chwilę, przeciwnie, stała mi się jakby zmorą. Wreszcie zdobyłam się na krok stanowczy.

„Każdego lata — zgodnie zresztą z utartym u nas, a i gdzieindziej zwyczajem — wyjeżdżałam ze służącą zagranicę, z początku do jakiegoś zdrojowiska, a potem nad morze. Powzięłam postanowienie udania się do Szwajcaryi, mianowicie do Genewy, i to z pewnym z góry ułożonym planem. Byłam bowiem przekonania, zgodnie zresztą z poglądem Russa, wyrażonym w Emilu, że w interesie dobrej pedagogiki leży, by dzieci pozostawały od najmłodszego wieku aż do rozpoczęcia studyów wyższych pod opieką jednego nauczyciela. Pan J. plan mój uznał jako słuszny i zgodził się na to, by przywieźć z zagranicy dobrego nauczyciela i pedagoga.

„Napisałam była list do Karola Vogta, którego pracami byłam zachwyconą, z zapytaniem, czy mógłby mi polecić odpowiadającego moim celom nauczyciela. Karol Vogt odpowiedział, że istotnie może mi polecić nauczyciela w osobie pana S., byłego sekretarza prywatnego Haeckl'a. Umówiliśmy się, że po ukończeniu kuracyi we Franzensbadzie przyjadę do Genewy w celu spotkania się z panem S. i ułożenia warunków.

„Przybywszy do Genewy, nie zapomniałam jednak o stałej mojej trosce myślowej. Zaopatrzyłam się w nieuniknionego Baedekera i znalazłam w nim nadspodziewanie następujący adres: „Temple unique — Association Internationale des Travailleurs“. Pozbywszy się towarzystwa służącej, bez której zwykle nie ruszałam się ani na krok, wsiadłam coprędzej do doróżki i kazałam się zawieźć do Temple Unique.

„Miałam wtedy 22 lat. Ubrana byłam bardzo elegancko. Z biciem serca wysiadłam z doróżki, której kazałam



czekać. Rozejrzałam się wokoło. Na schodach tej dziwnej świątyni bawił się jakiś chłopiec. Zwróciłam się do niego z zapytaniem, czy mogłabym się widzieć z prezydentem Międzynarodówki. „Proszę zapytać się tego oto pana“ — odpowiedział mi chłopiec, wskazując na wychodzącego właśnie z gmachu starszego mężczyznę, co do którego okazało się później, że jest to p. Borontheau — jeśli mnie pisownia nie myli — jeden ze zwolenników „federalizmu“, t. j. Bakunina.

„Zimny pot oblewał mnie, gdy, podchodząc do nieznanego mi człowieka rzekłam: „Chciałabym się zapytać pana, czy jest pan członkiem Międzynarodówki?“ Zapytany kiwnięciem głowy dał mi odpowiedź potwierdzającą. „Czy mogłabym widzieć prezydenta stowarzyszenia?“ „Nie mamy prezydenta“ — brzmiała wytrącająca mnie niemal z równowagi odpowiedź. „O, Panie, proszę mi dopomóż! Przyjeżdżam z Rosyi; chciałabym przystąpić do waszego stowarzyszenia i nieść jakąkolwiek pomoc ruchowi robotniczemu...“ „Jakto?“ — przerwał mi mój doradca. — „Pani! w tych jedwabiach i koronkach?...“ „Proszę — odparłam dumnie, ale czerwieniąc się — proszę nie wyśmiewać się ze mnie; czuję się w obecnej chwili tak zawstydzoną i nieszczęśliwą!“ Nie mogłam dalej mówić. „Nie znam Pani“ — rzekł wtedy mój nieznajomy, lecz wobec wiary, jaką Pani we mnie wzbudza, gotów jestem wprowadzić Ją do naszego stowarzyszenia. Będę chrzestnym ojcem Pani...“

„Tak też uczynił. Oto jak zostałam zapisana na członka Międzynarodowego Stowarzyszenia Pracujących.

„Z rozmowy okazało się, że p. S., którego miałam umówić na nauczyciela mych dzieci, był znany kilku wybitniejszym członkom Międzynarodówki. Zgodziliśmy się na to, że p. S. będzie otrzymywał listy dla mnie pod swoim adresem. On też miał przywieźć ze sobą moją kartę wpisu, długo bowiem nie mogłam pozostawać w Genewie.

„Gdy wróciłam do kraju, prowadziłam tajnie korespondencję ze Stowarzyszeniem, któremu wysyłałam wszyst-

kie pieniądze, jakimi mogłam rozporządzać; przeznaczając je na ówczesny zbrojny ruch federalistyczny w Hiszpanii, na rewolucję hiszpańską...“

.....

Tyle nam mówi niedokończony list. Resztę opowie-  
działoby codzienne życie tej niezwyklej kobiety. Ta sama  
wola, ta sama energia przebijały się w każdym jej kroku.  
Od 1878 roku, od chwili, kiedy weszła w stosunki ze so-  
cyalistami polskimi, nie znała przeszkód dla żadnej pracy.  
Majątkiem, wolnością i życiem szafowała hojnie dla sprawy,  
w której słuszność wierzyła. Nie powstrzymywało jej żadne  
niebezpieczeństwo, obdarzona bowiem była odwagą praw-  
dziwą — odwagą bez słów. Nie cofała się przed żadną  
pracą: robiła to, co w danej chwili mogła zrobić.

Między tak zwaną „robotą konspiracyjną“ polskiego  
socjalizmu a „konspiracją“, którą znamy z przeszłości,  
istnieje zasadnicza różnica. Ta ostatnia tkana była na  
kanwie gotowej i silnej. Polegała w pierwszej linii na  
tajnej pracy organizacyjnej, na skupianiu przedewszystkiem  
istniejących już sił w celach blizkiej walki rozstrzygającej.  
„Rekrutowanie“ duchowe nowych sił było albo zbyt cennem  
albo kwestyą drugorzędną. Organizacja zaś idzie w parze  
z ustanowieniem niezbędnej hierarchii dla dokonania prze-  
wrotu politycznego.

„Konspiracyjne roboty“ socjalistów ani takiego za-  
mysłu blizkiej walki ani też takiego aparatu organizacyj-  
nej pracy mieć na oku nie mogły. Szło i idzie przeciw tylko  
o wytworzenie „rewolucyi w umysłach“, jak się wyraził  
był Lassalle, co w skromniejszych słowach równa się wy-  
tworzeniu opinii i to opinii bardzo złożonej, bo opinii o ca-  
łej strukturze życia społecznego. Przy braku swobody słowa  
cała ta „robota konspiracyjna“ równa się metodzie „niele-  
galnej“ szerzenia pewnych zasad i przekonań.

Na pierwszy rzut oka nielegalna forma „roboty“ wy-  
daje się nawet być w sprzeczności z jej celem. Bo jak wytwor-  
zyć opinię, która nie ma sposobu ujawnienia się i poco



wytwarzać opinię, która dojrzeć do opinii wskutek warunków politycznych nie jest w stanie? Ta pozorna niekonsekwencyja jest jednak usunięta przez polityczny element rewolucyjny, który tkwi w każdej t. zw. propagandzie „nielegalnej“, poczynawszy od herezyi religijnej, a kończąc na tak zwanym naukowym socjalizmie w krajach bez swobody słowa, a nawet myśli.

Z tego wynika, że tak zwana „robota konspiracyjna“ o ile ma na celu szerzenie zasad socjalistycznych, dla umysłów głębszych i dla natur wyborowych nie posiada wcale tego elementu awanturniczości, którego się w niej doszukują ludzie, co jeśli nie sami są w pogoni za wrażeniami, to występują jednak jako rzeczoznawcy nastrojów, wymagających od życia narkotyku niebezpieczeństwa i zmiennych wrażeń. Z tego także wynika, że zetknięcie się bliższe „konspiratorów“ socjalistów z rzeczywistością zachodnio-europejską musi fatalnie albo osłabić wiarę w skuteczność działania o pozorach rewolucyjnych, albo też usunąć na dalszy plan pracę w duchu socjalistycznym.

Mendelsonowa miała zawsze bardzo trzeźwy i jasny pogląd na t. zw. „robotę nielegalną“. Wykonywała ją nie z zamiłowania do spiskowości, ale z poczucia obowiązku. Jej pojmowanie godności osobistej nie znosiło węgłów, nakładanych na te lub inne przekonania ludzkie. W „rewolucyjności“ widziała rokosz sumienia, zresztą czując wstręt do wszystkiego, co zdradzało ambicję lub „udawanie władzy“, jak zwykła się była wyrażać.

A jednocześnie posiadała systematyczność oraz zdolności organizacyjne, które nieraz spotykamy u kobiet wybitnych. To też w tej pracy „nielegalnej“ kładła nacisk na porządek, prawidłowość, „wiązaną końca z końcem“. O ile siebie nie oszczędzała i oddawała wszystkie swe siły na usługi innych, o tyle dbała o ekonomię sił u ludzi, razem z nią we wspólnej pozostających pracy.

Spokojnej i milczącej odwagi, jeździła nieraz nielegalnie do kraju, znosząc wszystkie niewygody. Przy wątleńm zdro-

wiu, nie znała żadnej przeszkody, mogącej ją powstrzymać od wywiązania się z dobrowolnie przyjętego zadania. Ta „arystokratyczna pani“, jak ją nieraz nazywano w kołach teatralno-rewolucyjnej inteligencji, uprzejmością i dobrocią łatwo zdobywała sobie serca nie tylko inteligentniejszych robotników, ale i włościan, a nawet przemysłowców w karczmie pogranicznej, gdy szło o przewiezienie do kraju wydawnictw niedozwolonych.

Od 1882 do 1893 roku nie było żadnego poważniejszego pomysłu pracy „nielegalnej“, zrodzonego na emigracji, którego wykonanie nie byłoby w znacznej części dziełem Mendelsonowej. Brała na siebie pracę wszelką, nie licząc się ani z mozołem, ani z niebezpieczeństwem.

Jednocześnie była Mendelsonowa najbardziej wpływowym „ambasadorem“ polskiego socjalizmu przy tak zwanym ruchu międzynarodowym. Nie było takiego „wodza“ doktrynerskiego, którego by nie umiała przekonać cierpliwością i uprzejmością, poza któremi działała w niej niezachwiana i niezrażająca się niczem wola dojścia do celu. Przy tych walkach zaś z ciasnotą pojęć, z napuszczonym doktryneryzmem oprócz celu swego, którego nie spuszczała z oka, widziała zawsze przed sobą ludzi, których obserwowała z miłością, przenikając ich na wskrós. To też jej rozmowy o ludziach, stanowiących ostatecznie oś ruchu, były bardziej drogocenniejszymi wskazówkami aniżeli oderwane „programy“.

Prosta w swej ofiarności, nie lubiła nigdy mówić o tem, co zrobiła i ile sił swych szczodrze rozrzuciła dłońmi. Nikt nie domyślał się nawet, ile życia ukróciło jej więzienie w Poznaniu, (1881—2), lub ile sił odbierała jej każda podróż nielegalna.

W 1889 roku, po kilku latach wdowieństwa, wyszła za mąż powtórnie, za Stanisława Mendelsona, z którym zresztą łączyły ją węzły pracy wspólnej i przyjaźni od 1879 roku.

Należała Marya Mendelsonowa do tego pokolenia popowstaniowego, które nie oddało się rozpaczom. Bez względu



na to, przy jakim warsztacie pracy publicznej stawali ludzie tego pokolenia, pomnażali oni zawsze zasoby moralne społeczeństwa. Czy w pracy organicznej, czy w hasłach pozytywizmu, czy ze słowami rokoszu na ustach pokolenie to miało samodzielność, rzutkość, umiejętność oddania się obranej pracy, poczucie obowiązków.

Miało to pokolenie jeszcze inną troskę: szukając nowych dróg musiało przecież jednocześnie przetworzyć samo siebie, wyrobić w sobie własny charakter, dokonać tej trudnej roboty, dla jakiej Niemcy mają znakomite wyrażenie: „das In-sich-hinein-gehen“.

Tej pracy nad sobą autorka wspomnień o Kowalewskiej nie zaniedbywała ani przez chwilę. Poznać swe siły — w które zresztą wierzyła — i zarazem poznać moralną tych sił wartość — stało się dla niej potrzebą życia. I była zawsze ze sobą w zgodzie, będąc jednocześnie w moralnej ze swem wybranem otoczeniem harmonii. Zdobyła dla siebie otoczenia tego nie tylko szacunek, ale zaufanie, prawie że wiarę, jak o tem między innymi zaświadczą listy Kowalewskiej i poniżej umieszczone wspomnienie Ellen Key.

W ostatnich czasach, często przykuta do łóżka, miała Marya Mendelsonowa zwyczaj robienia luźnych notatek, w których reasumowała wrażenie z czytanej książki. Notowała dla siebie tylko, dla kontrolowania samej siebie, własnych wrażeń i myśli. Jakże charakterystyczne są dla zmarłej uwagi, które spisała dla siebie, czytając naprzykład sławny dziennik Amiela. Powiada:

„Piękne to: kołyszecie człowieka i przykuwa. Po cóż jednak wciąż ta nuta religijna, która razi i sprawia zawód? Czyż nie może człowiek iść o własnych siłach, czyż wierzynie wspierać się musi na Opatrzności? Jest to błąd metody: przyzwyczailiśmy się sprowadzać wszystko do Boga i, przestając wierzyć, zachowujemy jednak metody dawne, które do przyczyn niezrozumianych i niepojętych sprowadzają każdy trudny problemat...

„Bardzo ciekawy jest w Amielu ten jego brak energii:

oto człowiek, mający wszystko, czego potrzeba, aby być szczęśliwym, a szczęśliwym być nie chce; dlaczego? Z trwogi przed rozczarowaniem — tak myślę. Boi się kochać! Czyż to nie dziwne? Ale jaki to język! Gdy mówi o „dziwnych światach niewypowiedzianego“, czujesz dreszcz...

„Oto myśl, nad którą chętnie pomyślę: Genialność utajona jest tylko przypuszczeniem. Cokolwiek może być, powinno się stać, co zaś nie staje się, było niczem...

„Potrzeba kochania i brak miłości — oto, sądzę, klucz do cierpienia Amiela; nie mógł kochać —: to jest źródło jego męki.

„Ce n'est pas ce qu'il a, ni même ce qu'il fait, qui exprime directement la valeur d'un homme, c'est ce qu'il est“. Nie to, co człowiek posiada, ani nawet to, co człowiek czyni, określa bezpośrednio jego wartość; określa ją to, czym człowiek jest. — Prawdaż to? Czyż rozstrzygającym nie jest, co człowiek czyni, co wytwarza? Tak właśnie mówią wokoło mnie. Lecz pewna tego bardzo, zupełnie tego pewna nie jestem. Twórczość bowiem często idzie w parze z upadkiem moralnym coraz większym... Tak, to, czym człowiek jest, stanowi rzecz decydującą. Tak, wziąć się w ręce, przeistoczyć się najpierw przez pracę, która jest doskonaleniem się mistrzem najwyższym, a potem rozwijać w sobie miłość dla samego siebie, dbać o zdrowie, o osobę swoją, pielęgnować umysł, uczucia swoje i wreszcie stosunki z ludźmi — oto ideał...”

Potrzeba i umiejętność owego *In-sich-hineingehen*, potrzeba i umiejętność zarówno jednostek kulturalnych jak i bardzo kulturalnych narodów, stanowiła wybitną cechę Maryi Mendelsonowej. Kultura bowiem rodzi potrzebę poszanowania siebie i innych, stwarza konieczność akuratannej buchalterii tak w stosunku do samego siebie, jak i w stosunku do ludzi.

Może dzięki tej właściwości swojej Marya Mendelsonowa znalazła w literaturze rosyjskiej źródło „cudnych“, jak powiada, wrażeń. Tam bowiem, w literackiej Rosji



z okresu Aleksandra II, potrzebę przeprowadzenia rachunku sumienia odczuł kwiat narodu. Wielkie nieszczęścia, przesilenie moralne zaczęły dokonywać tu dzieła, które zazwyczaj jest dziełem wysokiej tylko kultury. I dzieło to nie pozostało, nie mogło pozostać bez wpływu.

Istniało też u nas, przed 40 laty mniej więcej, usprawiedliwione zupełnie usiłowanie poznania się głębszego z myślą i twórczością duchową Rosyi. „Przegląd Tygodniowy“ i „Tygodnik Ilustrowany“ — na dwóch skrajnych biegunach stojące pisma — drukowały „Dym“ i „Ojcowie i dzieci“ Turgeniewa. Z pokolenia socjalistycznego i „konspiracyjnego“ owych czasów Marya Mendelsonowa była osobą, która najlepiej znała, a przedewszystkiem rozumiała myśl rosyjską. Tam, gdzie inni upatrywali tylko silne i wymowne narzędzia tendencyjne, ona odczuwała duchową, przetwarzającą się wciąż i do doskonałości dążącą siłę. I asymilowała, przetwarzała w sobie tę siłę, brała z niej omnia humana. A jednocześnie pozostała, zarówno w odczuwaniu, jak i w myślach, Polką od stóp do głowy. Sama swej polskości nie podkreślała nigdy, ale potrzeby swego narodu zawsze wysuwała naprzód, potrzeby kulturalnej odrębności i swobody.

Zresztą mówiła jak Polka, odczuwała jak Polka i formom swego wyrażania się nadawała polski wyraz tak silny, że wszyscy, poczynszy od Zofii Kowalewskiej i kończąc na sędziwym Fryderyku Engelsie, do niej, jako do „Polki“, się zwracają, w niej widzą wybrany przedmiot swych sympatyj polskich.

Na biurku Maryi Mendelsonowej, w jej walizce podróźnej — z wyjątkiem czasów, gdy odbywała podróże „konspiracyjne“ — nie brakło nigdy poezyj Krasieńskiego i Mickiewicza. Czytała także nieraz Słowackiego z zachwytem dla jego formy, lecz Słowacki często męczył ją. W dniach ostatniej choroby, gdy lekarz, znalazłszy ją pod wrażeniem Byrona, radził nie czytać zbyt dużo, Mendelsonowa z uśmiechem zauważyła: „odpoczywam teraz po kilku stronicach Słowackiego...“



Kraśński był jej „najmędrszym“ poetą. W Londynie rozczarowana „Oriolem“ Lyttona, stała się orędowniczką Kraśńskiego, szukając dlań nowego, natchnionego tfo-macza. Podziwiała Kraśńskiego, Mickiewicza zaś kochała. Mickiewicza czytała, mówiąc, znając go prawie na pamięć. Przy tomie Mickiewicza, który nie opuszczał jej niemal aż do ostatniej chwili, przeżywała jeszcze raz całe swe życie, od Rotmistrzówki aż do wygnania.

We Lwowie już, na schyłku dni, notowała sobie pewnego wieczora „bezpośrednie“ wrażenia z Mickiewicza. Czytała właśnie „Ballady i romanse“. „...To jakoś nazbyt drogie“ — notuje — „i krytykować to, a nawet bezstronnie oceniać wydaje się narazie, jak gdyby jakieś świętokradztwo...“ „Wspaniałe wrażenie sprawia jego“ — Mickiewicza — „emfaza“ — pisze dalej — „emfaza w opowiadaniu naprzykład: czytelnik przygotował się już do rzeczy nadzwyczajnych, a tu — nagły powrót do prostego, dobrodusznego tonu opowieści. Wywiera to urok niezmierny“. Przechodzi po kolei balladę za balladą, romans za romansem i w każdej z tych strof odnajduje coś, co ją wzrusza, zachwyca i nawodzi na pamięć najdalsze wspomnienia. „Świtezianka — pisze — jakież to arcydzieło, i formy i treści! Tylko pisać o tem trudno, gdyż zbyt dużo się w to własnego włożyło życia... „Do Przyjaciół“ posyłając im balladę To lubię...: „Teraz ja szczęścia szukam ot w tej książce...“ „Jakież to wierne spostrzeżenie! Któż w rozpaczy nie rzucał się ku książkom, szukając w nich pociechy i najczęściej szukając napróżno...“ Rozmyśla jeszcze nad „Powrotem Taty“, przypominając sobie chwile, gdy sama z bijącym sercem recytowała balladę tę przed gośćmi... „Brody ich długie, kręcone wąsiska...“ „Pamiętam — pisze — pamiętam, jak opis ten krew ścinał w żyłach, jak dreszcz szedł po ciele“. Od lat „sielskich i anielskich“ aż do grobu towarzyszył jej Mickiewicz. Czytając go czuła się sama silniejszą, pokonywała nawet chorobę, odnajdywała prostotę i prawdę, wdzięk i uczucie najgłębsze.



Pozostałe po zmarłej papiery obejmują liczną korespondencję ze znajomymi i przyjaciółmi z różnych krajów i różnych nawet części świata. Są listy z północnej Skandynawii i z południowych Włoch; toczy się nieraz w jednych listach polemika niemiecka o stosunku polsko-germańskim, w innych z tą samą szczerością dyskutuje się o różnicach w charakterach i narowach narodowych: polskim i rosyjskim. Marya Mendelsonowa miała niemal w każdym kraju przyjaciół bardzo jej oddanych i przejętych dla niej uczuciem głębokiego szacunku. I co nas uderza, to ten fakt, że niema w korespondencji tej prawie żadnych listów polskich.

Oderwana od kraju, skazana na stosunki emigracyjne, Marya Mendelsonowa wśród Polaków mało miała znajomych. Raziła ją sztuczność życia emigracyjnego, jego duchowe oderwanie od rzeczywistości, nieświadoma poza i samookłamująca się — mimowoli — egzaltacja emigrantów. I musiała ją atmosfera ta razić, gdyż sama dążyła zawsze do prawdy i prostoty. Szumne fanfary młodszego pokolenia emigracyjnego nie mogły w duszy jej znaleźć oddźwięku, gdyż nie było w nich tej „emfazy“, którą zachwyca się u Mickiewicza i w której podkreśla natychmiast „powrót do prostego, dobrodusznego tonu opowieści“. Przytoczony wyżej list Mendelsonowej wykazuje, że w niej proces pojmowania i odczuwania odbywa się bezpośrednio, niezależnie zupełnie od pochodzenia iskry, która wewnętrzne ognie duszy rozpałała. Milczała więc, wynagradzając nie-  
możność wzięcia udziału w emigracyjnym życiu polskim uprzejmością, która jej nigdy nie opuszczała, — naturalną, wrodzoną sobie grzecznością, która stanowiła jej wdzięk niezapomniany nawet dla tych, co niezdolni byli natury samej zrozumieć.

Ostatnie słowo pozostawiamy Ellen Key, która o zmarłej pisze co następuje:





„Przyznam się, że nigdy w życiu z taką niecierpliwością nie wyczekiwałam chwili poznania jakiegoś człowieka, z jaką wyczekiwałam spotkania z Maryą Mendelsonową. Znałam ją na wiele lat wprzód, nim ją zobaczyłam. Mój przyjaciel, Jerzy v. Vollmar, opowiadał mi nieraz o jej heroizmie, o jej gorącym sercu, oddaniu się całą duszą wielkiej idei i o czarze niezwykłym jej osoby.

„Marya była też częstym przedmiotem rozmowy Soni Kowalewskiej, która z nią żyła w wielkiej przyjaźni. Sonia podziwiała jej wysoką wartość moralną, ale wyznawała otwarcie, że chętnieby oddała własną swoją sławę za piękność, wdzięk i niezwykły urok, jakim czarowała wszystkich Marya Mendelsonowa.

„Spotkałam się z nią po raz pierwszy w Londynie w 1900 r., potem w Berlinie, a ostatnim razem w Paryżu. Należy ona do osób, które wywarły na mnie największe wrażenie w stolicach inteligencji europejskiej. Jaka to szkoda, pomyślałam sobie wtedy, że nasz los zależy od jednej wybitnej zalety — u Maryi była to miłość sprawiedliwości i wolności — i że często mijamy się z powołaniem, odpowiadającym całej naszej istocie. Niejednokrotnie bywało tak w życiu Maryi, — gdy z zaparciem się siebie pracowała dla dobra kraju, wywierając bardzo wielki i daleko sięgający wpływ. Przez całe życie siebie i swe siły oddawała na rzecz drugich w miłości ludzi oraz w ukochaniu sprawiedliwości i prawdy. Wzniewiała wiarę w sercach ludzkich i budziła podziw poświęceniem, skromnością i bezgranicznym oddaniem się.

„Interesując się wszystkimi doniosłymi kwestyami — nauką, sztuką, religią, socjologią — górując inteligencją, odwagą inicjatywy, niezależnością przekonań, była przyjaciółką znamienitych mężów, a wspaniałomyślnością i stałością zdobywała sobie serca kobiet i mężczyzn. Czarowała wszystkich pogodną, arystokratyczną godnością, nieomylnym taktem, taktem wielkiej damy światowej i kobiety serca, jakoteż ujmującą życzliwością i szczerym po-

dziwem dla każdej wybitnej indywidualności, a nade wszystko niezwykłym urokiem swej osoby.

„Posiadała odwagę spokojną, a obok niej wszystkie inne zalety szlachetnych kobiet polskich, które się poświęcały i cierpiały zarówno dla własnego narodu, jak i dla całej ludzkości.

„Była tak piękna i delikatna, że trudno było sobie wyobrazić, aby ta właśnie eteryczna istota mogła stawić czoło niebezpieczeństwu i znosić z cichem bohaterstwem cierpienia, — a tak czyniła przecież.

„Będzie dla mnie zawsze Marya Mendelsonowa uobiciem kobiecego piękna i szlachetności, dającej szczytny przykład poświęcenia się dla zdobycia lepszego świata, nie dla siebie — gdyż nie miała nadziei ujrzenia go — ale dla pokoleń, co przyjdą“.





WSPOMNIENIA  
O ZOFII KOWALEWSKIEJ





**M**arya Mendelsonowa wydrukowała pierwotnie, w roku 1897, wspomnienia swoje o Zofii Kowalewskiej w miesięczniku niemieckim „Neue Deutsche Rundschau“. W kilku słowach wstępnych podane tam są motywy, które skłoniły ją do ogłoszenia drukiem „materyału“, mogącego sprostować niektóre oceny i sądy o wielkiej Rosyance, w szczególności zaś sąd Skandynawek, pań de Cajanello i Marholm. Na ogłoszenie tego materyału nalegał też wówczas Dr. Oskar Bie, redaktor wymienionego miesięcznika berlińskiego.

W późniejszym czasie M. M. postanowiła wspomnienia swe rozszerzyć. Zdążyła jednak opracować tylko jeden rozdział. Choroba i śmierć przerwały pracę. Dalsze więc ustępy podajemy według tekstu niemieckiego z opuszczeniem wszakże szczegółów, już w pierwszym rozdziale omówionych, i z dodaniem kilku nieogłoszonych jeszcze dotąd listów.

Cały ten materyał ujęliśmy w pierwszej części. Drugą część utworzyliśmy z dwóch opowiadań, które Mendelsonowa pisała dla Kowalewskiej. W pierwszym opowiadaniu p. t. „Cytryna“ podane są pobudki, dla których nakreślone były te pierwsze, wyraźnie zarysowujące się w życiu wspomnienia. Niestety zaginęły wspomnienia Zofii Kowalewskiej, a między niemi i wrażenia, jakie na nią, gdy dzieckiem była jeszcze, wywarł astronom Szubert. Rękopis udzielony biografkom Zofii Kowalewskiej zabiłkął się, lub też zaginął.





# CZEŚĆ PIERWSZA



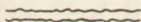


Po śmierci Zofii Kowalewskiej krótkie jedynie wzmianki dzienników i nieliczne nekrologi podały do wiadomości przyjaciół, uczni i szerszej publiczności, że zgasł światły umysł i że w szeregu uczonych opróżniło się jedno miejsce. Poczem wszystko zamilkło. Pamięć jej zacierała się coraz bardziej i zdawało się, jakoby ta osobistość, tak w nauce zasłużona, tak wybitna dla tych, co ją znali, miała ulec ogólnemu losowi zwykłych śmiertelników i opaść w zapomnienie. Autobiografia Zofii Kowalewskiej z jej lat dziecinnych i dalszy ciąg jej biografii, wydany przez księżnę Cajanello w języku szwedzkim i rosyjskim, przez długi czas nie istniały dla Zachodu, aż wreszcie w 1894 r. „La Revue de Paris“ podała tłumaczenie autobiografii pod tytułem „Wspomnienia dziecenne Zofii Kowalewskiej“. Wspomnienia te ukazały się niebawem w oddzielnym wydaniu książkowym, uzupełnione dalszym niejako ciągiem biografii Zofii Kowalewskiej. Autorką biografii była księżna Cajanello, z domu Löffler, siostra profesora Löfflera, kolegi uniwersyteckiego Kowalewskiej.

Publiczność czytała z zajęciem opowiadanie, pełne uroku, z lat dziecinnych Zofii, napisane z taką ujmującą szczerością. Już sama osobistość bohaterki wspomnień przykuwała uwagę czytelników do książki, ale dziwaczna ocena

wypadków i wrażeń, dokonana przez księżnę Cajanello, niektóre szczegóły niejasne, inne — niezgodne z autobiografią, pobudziły wielu do uwag krytycznych. To też, gdy książka pani de Cajanello ukazała się w przekładach francuskim, angielskim i niemieckim, jakby grzyby po deszczu, pojawiły się nagle niezliczone artykuły, broszury i szkice analityczne o Kowalewskiej. Autorki, apostołowie emancypacji kobiecej, krytycy literaccy —: wszyscy mieli o niej coś do powiedzenia; jedni poddali poprostu analizie życia Zofii Kowalewskiej, inni zużytkowali najdrobniejsze wydarzenia i wypadki z życia uczonej na korzyść własnych swoich odczuwań lub teorii. Gladstone wyraził swoje żywe zainteresowanie się tłumaczeniem w liście do wydawcy, wykazując jednak jednocześnie niebezpieczeństwo, grożące kobietom, gdyby się zanadto oddawały nauce...

Nie mam wcale zamiaru wywoływać jakiegokolwiek polemiki, ale zdaje mi się, że nieliczne listy Zofii Kowalewskiej, jakie zachowałam, a również i skreślenie wspomnień z naszych stosunków osobistych i poufnych pogadaniek przyczynią się do sprostowania niektórych sądów — według mnie mylnych — o charakterze Zofii Kowalewskiej, a zarazem ukążą w prawdziwym świetle jej sposób myślenia i odczuwania...





## I.

Chcąc określić Zofię Kowalewską jako umysł, musieliśmy powiedzieć, że był to umysł raczej genialny, niż rozumny i logiczny. Miała ona charakter niezmiernie zmienny, o kilku zaledwie rysach stałych i tworzących jakoby podstawę natury już to błyskotliwej i kapryśnej, już — poważnej, pracowitej, rozsądnej. Zmieniały się w niej przeróżne usposobienia niespodzianie i w chwili, gdy wydawało się, że Zofia pogrążona jest w surowej pracy matematycznej, w wyliczeniach i kreśleniach astronomicznych, rzucała ona nagle suche studia, szła szukać wytchnienia w pracy literackiej, szła szukać marzeń i obrazów poetyckich, któreby mogły zadowolić i nasycić potrzebę poezji i piękna, potrzebę, kryjącą się poza krytycyzmem, poza ironją, w samej głębi jej duszy.

Z licznych przyjaciół Zofii każdy zachował w pamięci wizerunek inny, każdemu bowiem przedstawiała się ona inaczej i wręcz odmiennie. Fałszu jednak nie było w tym żadnego: to tylko bogata natura jej darzyła danego, w danej chwili interesującego ją człowieka tem właśnie, co wydawało jej się dla człowieka tego odpowiedniem. Zajęcie się jej daną jednostką było wyłączone, wykluczające równoczesne zajęcie się innymi ludźmi. Nie widziałam jej nigdy w stanie, że się tak wyrażę, zrównoważonym i nie mogła jakoś

wytworzyć w sobie umiejętności stałego i wielorakiego obcowania z różnymi ludźmi, w jednym czasie. Był to przeciwnie ciągły proces zachwytnów i rozczarowań, przyciągań i odtrącań, wywnętrzeń wreszcie i upornych zasklepień się w sobie samej. W danym momencie zajmowała się ona zwykle tylko jedną osobą, bez względu na to, czy osobą tą był mężczyzna, czy kobieta, oddając się jej całkowicie, z pominięciem wszystkich innych. I nietylko, że oddawała się całkowicie towarzystwu, rozmowie, poznawaniu danego X, lecz wszystko inne zdawało się jej być na przeszkodzie i wzbudzać w niej niechęć jakąś. Trwało to do chwili, w której stworzyła sobie pewien dokładny obraz danego osobnika, w której odpowiedziała sobie na pewne, powstałe w jej umyśle pytanie: z tą chwilą, podobnie jak dziecko, które przez czas dłuższy, bawiąc się jedną i tą samą zabawką, odrzuca ją wreszcie z niejakim niesmakiem i gniewem, Zofia odwracała się z niechęcią i rozczarowaniem od osoby, dla której zdawała się przed chwilą mieć tyle przywiązania. Z pogardliwym spojrzeniem oddalała się od przedmiotu żywego swego zajęcia, zapominając, ignorując zupełnie tego, kto za głęboką przyjaźń lub miłość mógł wziąć owe chwilowo okazywane mu zachwyty i zainteresowanie. Według mego rozumienia, ta właśnie dziwna cecha charakteru Z. K. wytworzyła naokoło niej mnóstwo ludzi rozżalonych i niechętnych: nagły jej chłód w stosunkach obrażał poprostu. Nikt bowiem nie chciał być uważanym li tylko za obiekt chwilowych studyów, nikt nie chciał grać roli przedmiotu ciekawości sławnej matematyczki wtedy, gdy miał na myśli bliższe z nią stosunki.

Jeśli jednak Z. K. zachwycała się często nowopoznanymi osobami, jak zbrojny w mikroskop uczony zachwyca się rzadkimi okazami, które podda ścisłym badaniom naukowym, to radość jej nie znała granic, gdy w owych nowopoznanych ludziach spotykała cechy dla niej sympatyczne. Umiała ona zaiste przywiązywać się poważnie i szczerze, poważniej i szczerzej, niż mniemali bliżcy i oddani jej ludzie.



Posiadała nadto jeszcze jedną cechę, wielu zbijającą z tropu, cechę czarującą, a niestety tak rzadką: ironię, z którą odnosiła się zarówno do siebie, jak i do otoczenia. Posiadała śmiech, ów złoty i serdeczny śmiech, a miała go i wobec ułomności cudzych i wobec własnych błędów, wobec pieszczot losu i wobec jego ciężkich razów. Śmiała się, gdy marzyła o szczęściu; śmiała się, gdy życie grucho- tało i rozwiewało zamki z lodu i pałace powietrzne, a śmiech



to był ciepły, gdyż wydobywał się z poza łoż. Ludzie z humorem są dobrotliwi zazwyczaj: zeznają jakoby, że, zbyt ostrą władając bronią, wolą używać jej oględnie, by nie zranic kogoś wokoło siebie. Miecz krytyki nazbyt często zatapiać muszą we własnej piersi, wiedzą zaś z własnego doświadczenia, że łatwiej jest potępić się i powiedzieć sobie: „źle postąpiłem“, niż wyznać przed samym sobą: „okryłem się śmiesznością“. Do podobnego wyznania zdolne są tylko rzadkie i wyborowe jednostki. Że Zofia umiała drwić ze siebie samej, dowodem jej pamiętniki, w których z czarującą prostotą opowiada o swoich dzikich i częstokroć śmiesznych pomysłach, — dowodem i niektóre później przytoczone listy.

Poznałam Z. K. w Paryżu, latem 1882 r. Gdy pewnego popołudnia wróciłam do domu, „concierge“ doręczył mi list. To sławny rewolucjonista rosyjski, Piotr Ławrow, zapraszał mnie do siebie na wieczór dnia następnego. Zapowiadał, że spotkam u niego kilka pań, między niemi przyjaciółkę jego, literatkę, panią Nikitin, piszącą pod pseudonimem B. Gendre, oraz sławną matematyczkę, Zofię Kowalewską. Miała być także pani Połońska, Marya Nika-

norowna, znana dobrze pod tym pseudonimem w sferach rewolucyjnych osobistość, lecz nie przyszła z obawy, by przed Z. K. nie zdradzić swego rewolucyjnego incognito, jak dowiedziałam się później.

Zaproszenie przyjęłam z radością i pospieszyłam na zajutrz do mieszkania staruszka.

Brudna ulica St. Jacques, brudniejsze jeszcze schody, wreszcie drugie piętro; swojski zapach stęchlizny, wilgoci, butwiejących starych książek. Mieszkanie, złożone z paru pokoików, wygląda jakoś odświętnie; palą się aż dwie kopące i osmalone lampy. W powietrzu czuć kurz: wyjątkowo pokój został zamieciony... Lecz cóż to wszystko znaczy wobec rozczulonego uśmiechu gospodarza! Ławrow jest w ósmem niebie, najśłodsze uśmiechy posyła mi na powitanie; woła wysoko podniesionym głosem: „A w o t i M a r j a W i k i e n t j e w n a !“

Następują przywitania, przedstawienia. Na kanapie siedzą obok siebie dwie panie; usadawiają mnie naprzeciw kanapy, w jedynym wygodnym fotelu. Ławrow chodzi po pokoju, paru obecnym studentom wydaje rozporządzenia co do samowaru... powstaje jakiś zamęt, ustawia się wyszczerbione szklanki, „dla dam“ zaś — filiżanki. Wreszcie gospodarz uroczyście otwiera szufladę swego biurka. Z pośród przeróżnych szpargałów, wyżółkłych, cienkim piśmem zapisanych kartek, ukazuje się talerzyk ze złoconą obwódką, — talerzyk względnie czysty. Na nim różne ciastka, niektóre z kremem. Tych studentom brać nie wolno, „bo to dla pań!“

Wszystko to jednak jest mi już znane, już nieraz bywałam na tych przyjęciach Ławrowa — dziś zajmują mnie wyłącznie jego goście. Panie, siedzące przedemną, różnią się między sobą niezmiernie. Pani Gendre, mała, drobna, o regularnych, jakkolwiek przywidłych już rysach, oczy ma czarne jak pieprzyki, zmęczone i załamane, usteczka ściśnięte, wyróżzowane policzki, ruchy pretensjonalne: wyglądem swym robi wrażenie porcelanowej figurki saskiej.



Głosik słaby i piskliwy, wyszukane jej frazesy pachną nieco stęchlizną i przypominając ubiegłe, ośmnaste stulecie, są jakby parodią francuskich „*précieuxes*“.

Zofia Kowalewska, jakkolwiek również mała, razi zbyt wielką głową, całą w lokach; oczy ma nieokreślonego żółto-zielonego koloru. Powiedział ktoś o nich, że są, jakby „konfitury z agrestu...“ Oczy te uderzają blaskiem. Ruchy ma niezmiernie żywe i wogóle w całej jej osobie przebija się nadzwyczajna żywość temperamentu.

Wszystko w niej pociąga mnie i zaciekawia. Czuję, że mam przed sobą zdolności niezwykle i człowieka nader zajmującego. Ciekawość moją Z. K. odwzajemnia ciekawością. Opuściłam byłam dopieroco więzienie poznańskie, gazety rozpiszywały się szeroko o naszej sprawie, Z. K. zaś mało miała styczności ze sferami rewolucyjnymi. Budziły więc jej zainteresowanie. Przytem stary Ławrow musiał jej o mnie mówić. Słowem, przypuściła do mnie szturm całej swojej ciekawości.

„Niech Pani opowie mi o swoich wrażeniach więziennych, o wrażeniach z procesu! Niech Pani opowiada o wszystkim, bardzo, bardzo proszę!“

Natarczywość ta zrazu niebardzo mi się podobała, zmieszała mnie trochę. Lecz Zofia, w lot to spostrzegłszy, przeszła natychmiast na inny przedmiot rozmowy, powróciła do rozmowy ogólnej. Nadejście moje przerwało mianowicie długą rozprawę o socyalizmie. Obie panie powtarzały utarte frazesy, utarte zarzuty, jakoby socyalizm zbyt niegłęboko się zasklebiał w kwestyach ekonomicznych i t. d. Ławrow bronił gorąco zasad socyalizmu. Co do mnie, wolałam, słuchając, przyglądać się rozmawiającym. Wszyscy troje trzy-



malі się w rozmowie poglądów dość nieokreślonych, mówili wiele o dążeniu do szczęścia, o równem doń prawie, o potrzebie zajęcia się uświadomieniem klas niższych, o przewrocie, mającym przynieść rozwiązanie dzisiejszych zawi-  
kłań... Wszystko to brzmiało pięknie i nieokreślenie zara-  
zem; łatwo było, słuchając rozmowy, domysleć się, że to,  
o czem mówiono, dla dyskutujących było w równym sto-  
pniu drogie, jak i — obce: mówiono o marzeniach, jak  
o rzeczywistości i starano się żądzę swobód politycznych  
zaspokoić rozmaitemi, oderwanemi częstokroć od rzeczywi-  
stości, teoryami.

Pierwsza zamilkła pani B. Gendre —: układała już  
zapewne w myśli artykuł do wydawanego naówczas przez  
p. Clémenceau dziennika „La Justice“. W istocie naza-  
jutrz czytaliśmy artykuł przez tę panią podpisany. Były  
w nim powtórzone poglądy wieczorem usłyszane, artykuł  
jednak, nader zgrabnie ułożony, wypadł udatnie. Pani Gen-  
dre w istocie dziwnie dobrze władała językiem francuskim,  
zarówno w mowie, jak i piórem.

Jakkolwiek Zofia Kowalewska zaznaczyła zaraz na  
wstępie, że kwestye ekonomiczne są jej obce, to jednak  
zdania swego broniła z wielkim zapałem. Im dłużej słu-  
chałam jej, tem bardziej podobała mi się jej całkowita prostota,  
jej uczciwy, że się tak wyrażę, stosunek do przedmiotu,  
jej szczere szukanie prawdy bez cienia popisywania się lub  
zarozumiałości. Widocznem było, że miała na celu wyja-  
śnienie sobie samej przedewszystkiem omawianych zaga-  
dnień, przyczem nie urażały jej żadne żarty lub drwiny,  
przeciwnie z drwin dowcipnych sama serdecznie się śmiała.  
Zachowanie się Zofii Kowalewskiej zdobyło mnie zupełnie.  
Bardzo też szczerze dziękowałam Ławrowowi za miłe spęd-  
zony wieczór i nową znajomością cieszyłam się niezmiernie.

Po tym wieczorze Zofia Kowalewska złożyła mi wi-  
zytę zaraz nazajutrz. Odwiedziłam ją wzajem po paru dniach  
i w ten oto sposób zawiązały się między nami bardzo miłe  
stosunki towarzyskie. Unikałyśmy obie, jak gdyby z umowy,



owego otwierania duszy, owych wywnętrzeń serdecznych, tak łatwych u kobiet: rozmawiając o przeróżnych przedmiotach i teoryach, zrzadka i chyba jedynie dla poparcia danego zdania przykładem, przytaczałyśmy jakiś mało znaczący fakt z własnego życia. Szanowałyśmy bowiem obie owo wewnętrzne ja, które, jako skarb ukryty, człowiek chowa w głębi duszy, owo ja, którym różnimy się właśnie od sąsiada, które jest naszą oryginalną cechą, naszym bogactwem duchowym i stanowi naszą istotną wartość, indywidualność naszą. Ludzie mało nam znani mogą nam być mili i sympatyczni: otwieranie jednak duszy przed nimi nie da się obronić i jest niestosowne. Różnica między stosunkami towarzyskimi a stosunkami przyjaźni polega na tem właśnie, że w pierwszych trzymamy się ściśle gruntu ogólnego, zachowując wyłączenie dla przyjaciół przywilej zapoznania się z tem, co stanowi tajemną skarbnicę duchową oraz prawdziwą indywidualność i oryginalność naszej istoty.

---

Odwiedziny Zofii stawały się coraz częstsze. Raz, gdy była właśnie u mnie, zauważyłam jakiś obfok na jej czole. Była zdenerwowana i zdenerwowanie jej rosło coraz bardziej. Rozmowa nasza, mimo obopólnych wysiłków, rwała się ciągle. Wreszcie, nie mogąc już dłużej nad sobą panować, Zofia zawołała: „Proszę mi darować, że zajmę Panią rzeczą, która mnie w obecnej chwili całą pochłania. Chcę Panią prosić zarazem o radę, jak w danem zawikłaniu wypada mi postąpić!“ „Jeden z moich przyjaciół — ciągnęła dalej — matematyk, ma 16-letnią siostrę, która chciałaby również poświęcić się nauce, chciałaby pracować nad matematyką. Rodzice ani słyszeć o tem chcą. Dzieje się to w Rosyi, gdzie wstęp do szkół wyższych kobietom jest wzbroniony, gdzie więc o dopięciu celu ani marzyć dziewczynie. Moznaby coprawda pomyśleć o urządzeniu fikcyjnego ślubu — dodała i jakiś bolesny uśmiech przemknął

po jej twarzy — lecz niełatwo jest znaleźć człowieka, któryby chciał poświęcić osobistą swoją swobodę na to tylko, aby młodej dziewczynie umożliwić drogę ku nauce i wyższemu rozwojowi. W danym wypadku ten punkt wyjścia jest niemożliwy. Poradziłam więc przyjacielowi, aby siostrę wywiózł tajemnie. Aby zaś w drodze nie zatrzymała jej możliwa depesza rodziców, alarmująca depesza, któraby cały nasz plan mogła pokrzyżować, pożyczyłam jej swego paszportu <sup>1)</sup>. Przyjaciel mój miał do mnie telegrafować, gdy tylko staną w Niemczech. Według moich obliczeń dawno już powinni byli tam stanąć i niepokoi mnie mocno, że dotąd żadnej nie otrzymałam wiadomości. Jak Pani sądzi, czy są środki dowiedzenia się o ewentualnem ich przytrzymaniu na granicy ?“

W całym tem zajściu Zofia zachowała się bardzo charakterystycznie: podała plan zgodny z jej naturą, plan stanowczy, a romantyczny zarazem. Dla ułatwienia młodej, nieznaney sobie dziewczynie drogi ku wiedzy i niezależności, ofiarowała swój własny paszport, nie bacząc, że wyniknąc stąd mogą przykrości dla niej samej, że mogą odmówić jej n. p. wydania nowego paszportu, mogą zatrzymać na granicy, i, w razie jakichkolwiek zawikłań z młodą dziewczyną, mogą nawet pociągnąć do odpowiedzialności.

— Czy Pani zdała sobie sprawę z tego, ile przykrych następstw może pociągnąć za sobą ów stanowczy krok, na który zdecydował się przyjaciel Pani? Panienska, przytrzymana na granicy, będzie *nolens volens* odesłana do rodziców. Pani sama, w razie potrzeby powrotu do Rosyi, narażona będzie na szykany i trudności. O tem już nie mówiąc, że mogą Panią oskarżyć o współudział w porwaniu nieletniej dziewczyny...

— Wszystko to jest możliwe! — odrzekła Zofia z pewnem zakłopotaniem — lecz postąpić inaczej nie mogłam.

---

<sup>1)</sup> Jak wiadomo paszporty rosyjskie nie wymieniają wieku i nie zawierają rysopisu właściciela.



Niech Pani tylko pomyśli, czy można nie podać ręki, odmówić pomocy temu, kto łaknąc wiedzy, sam do jej źródła dotrzeć nie może? Na drodze kobiet, gdy obrać sobie chcą ścieżkę inną, niż tę ubitą, która prowadzi do małżeństwa, tyle się przecież piętrzy trudności! Ja sama spotykałam ich tak wiele, że usuwać, o ile potrafię, przeszkody na drodze innych, uważam za swój obowiązek. Dziewczę, o którym mówię, posiadać ma, według twierdzenia brata, wielkie zdolności do nauk ścisłych. Kto wie, czy nie rozwinie się z niej jakaś wybitna uczona? Dumna będę, jeśli przyczynię się do wprowadzenia takiej młodej siły na pole nauki! —

Na tem zakończyła się nasza rozmowa, nie warto bowiem wzmiankować o niektórych moich kombinacjach i radach, których starałam się Zofii udzielić.

Po tygodniu Zofia zapukała ponownie do moich drzwi, tym jednak razem w towarzystwie młodej i ładnej dziewczyny o ciemnych warkoczach i wesołych, śmiejących się oczach, dziewczyny pełnej życia i zachwytu dla wszystkiego, co spotykała w Paryżu, pełnej podziwu dla swej nowej przyjaciółki i opiekunki. Przybyszka wspominała mi coprawda o swej wielkiej miłości dla nauki i o zamiarach uczęszczania na wykłady w Sorbonie, lecz piękne jej, śmiejące się oczy mówiły wyraźnie, że Paryż pociąga ją raczej jako miasto bogate w rozrywki, nie zaś jako przybytek wszechświatowego światła i skarbnica wiedzy. Zofia dzieliła z nią mieszkanie, zaczęła nawet uczyć ją matematyki. Nauka wszakże trwała niedługo: matematyka okazała się przedmiotem zbyt trudnym, zbyt suchym dla nieprzyzwyczajonej do pracy umysłowej dziewczyny. Młoda Zoë, ładna i tej urody świadoma, wolała bawić się, stroić, chodzić po pięknych sklepach paryskich, gawędzić z młodymi profesorami i studentami, których u Zofii Kowalewskiej bywało wielu. Zofia wyznała mi kiedyś na ucho, że jest nieco rozczarowana, że nauka niewiele, matematyka zaś jeszcze mniej zyska na jej młodej przyjaciółce... To mówiąc, westchnęła głęboko, z miną komicznie zakłopotaną... Gdy tak ze zło-

tych swoich snów budziła się do rzeczywistości, uroczą była niezmiernie: śmiała się jakby sama ze siebie, przyznając, że nie zna ludzi i świata. Niemniej stosunek jej do młodego Zoë pozostał serdeczny, za co też dziewczę szczerze ją pokochało. Okoliczności miały niezadługo dać dziewczynie sposobność okazania przyjaciółce brata wdzięczności swej i przywiązania. Zanim jednak ten tragiczny epizod opiszę, muszę powiedzieć kilka słów o owej przyjaźni Zofii Kowalewskiej dla młodego P. We wspomnieniach o Z. K. pani Szarlota Lefler (księżna di Cajanello) dwuznacznie jakoś przedstawia tę przyjaźń, insynuując stosunki miłosne, co najmniej zaś preludium do nich, flirt, zalecanki. Wszystko to istniało, o ile mi się zdaje, wyłącznie w bogatej wyobraźni Anny Szarloty Lefler, księżnej di Cajanello, która, zaprzęgnięta z góry pomyślaną tezą, przystosowała do niej portret sławnej matematyczki, portret do rzeczywiśtej Z. K. zgoła niepodobny. Rzecz bowiem miała się, o ile wiem, zupełnie inaczej. Zaznajamiając się z młodym owym Polakiem, Zofia przystąpiła doń ze zwykłym sobie zainteresowaniem. Ciekawił ją z kilku powodów. Raz — jako Polak: twierdziła bowiem, że Polacy budzą w niej więcej zajęcia, niż ludzie innych narodowości. Powtóre — jako matematyk: w owym bowiem okresie utrzymywała, że matematycy posiadają jakiś odrębny światopogląd i bardziej wyrafinowane uczucia. Chciała to może sprawdzić. Twierdzę wszakże, że żywszych uczuć lub czegokolwiek, coby na nie zakrawało, człowiek ów w Zofii nie mógł budzić. Już wówczas miano wicie Zofia nieraz wypowiadała wobec mnie żal, że sama nie może zapoznać się z owym „oiseau bleu“, z owym niebieskim i niebiańskim ptakiem, jak zwykłyśmy były nazywać miłość w pufnym naszym dyalekcie; opowiadała mi nieraz, jak obcem jej jest wrażenie, którego doświadczają zazwyczaj kobiety w towarzystwie młodych i przystojnych mężczyzn... Jej zachowanie się, całkowity brak wszelkiej kokieteryi, a nawet estetyki, świadczyły i świadczą najlepiej, jak dalece mówiła prawdę. Pan P. budził w niej owo



charakterystyczne zaciekawienie, o jakim na początku niniejszej opowieści wspominałam. Przy jego pomocy chciała zapoznać się z Polską; czytywał jej głośno Mickiewicza i dość autorytarnie ponoś kazał się zachwycać ustępami z „Dziadów“ n. p. Raz z powodu „Zosi, pasającej baranki“ pokłócili się. Zofia, rozdrażniona, wpadła do mnie, wołając: „Nie, doprawdy, nie mogę padać na kolana przed utworem, w którym za każdą zwrotką powtarzają mi trzy razy: „La, la, la baranku!“ Czyż u was, Polaków, wszyscy zachowują się tak bałwochwalczo wobec Mickiewicza? Przecież to tylko miła sielanka i — nic więcej!“ Poglądy na ludzi i narody tworzyła wogóle z iście kobiecą bezwzględnością: tak też i w tym wypadku z drobnego faktu miała ochotę wyciągnąć wnioski, obejmujące Polaków ryczałtem. Że podówczas coraz bardziej zbliżyliśmy się do siebie, Zofia zaś posiadała ów rzadki dość talent odsłaniania przyjaciółom myśli swych w biegu ich formowania się, mogłam śledzić, jak powoli, stopniowo kształtował się pogląd jej na pana P. Uogólniała ona częstokroć coprawda cechy jego charakteru, mówiąc, że są to cechy polskie wogóle i nieraz sprzeczałyśmy się o to; lecz, że zbliżywszy się ze mną, zaczęła się spotykać u mnie z innymi jeszcze Polakami i znalazła tem samym inne także źródła dla swych obserwacji, przestała widzieć w panu P. prototyp Polaka i powoli pan P. zatracił dla niej urok.

---

Raz, w niedzielę rano, przyszła Zofia z propozycją, abyśmy pojechały do St. Maudé, oddalonego od Paryża o godzinę tramwajem. Mieszkała tam siostra jej, pani Jacard, która bardzo chciała poznać mnie i prosiła nas obie na obiad. Niezmiernie ciekawa byłam tej Aniuty, jedynej, ukochanej siostry Zofii, tej Aniuty, którą czytelnik zna już zapewne z polskiego przekładu pamiętników Z. K. Podówczas pamiętniki te jeszcze nie istniały: — zastąpiło

mi je żywe opowiadanie Zofii. Przebrałam się prędko i pospieszyłyśmy do tramwaju Louvre—St. Maudé. Z jakąż radością wdrapałyśmy się po schodkach tramwaju na imperial, z jakąż radością usadowiłyśmy się wygodnie na ławce! Oczy nasze spotkały i uśmiechnęły się — stawałyśmy się wzajem dla siebie bardzo drogimi!

Miałyśmy przed sobą całą godzinę spokojnej gawędki, podczas której, wśród świeżego powietrza, tramwaj wieź nas będzie do celu podróży.

— Aniuta! — zawołała Zofia. — Tak, wnet pozna Pani najdroższą dziś dla mnie na świecie istotę, najdroższą, bo córeczka moja to przecież jeszcze małe stworzenie, Aniuta zaś — to człowiek: dobry, piękny, rozumny człowiek, stokroć lepszy, piękniejszy, więcej utalentowany i rozumniejszy odemnie! Co? Pani się uśmiecha? Tak jednak jest. Tylko, że ja byłam szczęśliwsza, ją złamało życie! — dodała z westchnieniem.

Rozpytywać się nie śmiałam: nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia. Zaczem parę uwag o roztaczających się przed nami krajobrazach i Zofia powróciła do poniechanego przed chwilą przedmiotu rozmowy. Mówiła o zdolnościach literackich Aniuty, o tem, jak to ona, mając lat szesnaście, napisała powieść i posłała ją do wydawanego przez Dostojewskiego czasopisma „E p o c h a“; jak to Dostojewski powieść, podznaczoną pseudonimem, wnet wydrukował, list napisał pełen pochwał i zachęty i wraz z honorarium wysłał pod wskazanym adresem. Adres to był starej klucznicy, podany z obawy, by ojciec nie dowiedział się o autorstwie córki. Niestety nie udało się zachować rzeczy całej w tajemnicy. Jenerał Kriukowskiej prawem kaduka list Dostojewskiego do córki przeczytał. Zapalał gniewem... Jak śmiała, bez jego zezwolenia!?

Przywołano Aniutę. Ojciec pieniał się i szalał. Pieńiądze rozkazał natychmiast odesłać Dostojewskiemu, oświadczając córce, że jednaką hańbą dla kobiety jest sprzedawać pracę umysłu, jak i wdzięki ciała!... Czytelnik



znajdzie stokroć lepiej opisany przebieg tego zajścia w pamiętniku Z. K.

Nie będę tu opowiadała, w jaki sposób Zofia, dla zapewnienia sobie i siostrze możliwości pracy umysłowej i niezależności, fikcyjnie wyszła za mąż, gdyż i to opisane jest w jej pamiętniku. Wolę więc przypomnieć tę część rozmowy, która odnosi się do chwil późniejszych, poczynając od wyjazdu Zofii zagranicę.

Zaraz po ślubie z mężem i Aniutą wyjechała mianowicie zagranicę. Ktokolwiek z nas, „zakordonowców“, przejeżdżał po raz pierwszy granicę rosyjską, pamięta niezawodnie uczucie radosnego wyzwolenia, gdy się poczuł za granicą, poza obrębem władztwa czynowniczej samowoli; do uczucia tego w obu siostrach dołączała się świadomość swobody, pewność pozbycia się despotyzmu rodzicielskiego, nadzieja, że nic już planom ich i marzeniom na przeszkodzie nie stanie. Zofia marzyła o poświęceniu całego życia pracy i badaniom matematycznym, Aniucie literatura nie wystarczała. Gdy szybko mknący pociąg unosił je na Zachód, obie młodziutkie dziewczyny, tuląc się do siebie, półszepem roztrząsały wspaniałe plany i zamiary Aniuty właśnie, która naczytawszy się potajemnie broszur socjalno-rewolucyjnych, postanawiała nie mniej, nie więcej, jak tylko zburzyć stary ustrój burżuazyjny i przewrócić do góry nogami całą Europę... Wkrótce siostry musiały się rozstać. Zofia udawała się do Heidelbergu, Aniuta jechała do Paryża. Sama jedna do Paryża! Energetyczna Zofia wydziwić się nie mogła odwadze starszej siostry i oczekiwała po niej bardzo wiele. Czego mianowicie? Sama nie umiałaby może tego określić, spodziewała się jednak po niej czegoś wielkiego, czegoś, co zaważyłoby na życiu Europy, na życiu świata całego...

Kowalewski, odwiozłszy żonę do Heidelbergu, pozostawił ją tam, na jej żądanie, sam zaś zajął się własnymi, przyrodniczymi studiami w Tübindze. Wstąpiwszy do uniwersytetu, Zofia wzięła się do pracy po swojemu, z sza-

loną intensywnością, całkowicie się jej oddając, zapominając zupełnie o dookolnym świecie. Praca ta wydała plon wspaniały. Rektor wydziwić się jej nie mógł, profesorowie byli w zachwycie wobec tych nadzwyczajnych, w lot wszystko chwytających i wszystko przyswajających sobie zdolności.

W tych oto trudach, dokonywanych z wytrwałością a jednak z zapałem, przeszła zima; zbliżały się wakacje wielkanocne i Zofia umyśliła spędzić je w Paryżu z ubóstwianą swoją Aniutą. Pewnego zatem poranku, z lekką walizką w ręku, udała się na dworzec. W drodze myślała wciąż o Aniucie. Podkreśliłam już wyżej właściwość Zofii, polegającą na zupełnem absorbowaniu się danym przedmiotem, z pominięciem wszystkich innych, z pominięciem — w tym wypadku — samej siebie i własnych planów. Aniuta i myśl o niej pochłonęły ją całkowicie. Lecz oto pociąg zbliża się do Paryża: z błyskawiczną szybkością mija różne drobne stacje, o dobrze znanych nazwach. Ukazują się wały fortyfikacyj — wreszcie, z turkotem i hałasem, pociąg wjeżdża na dworzec kolei, zwany dworcem wschodnim, czyli sztrasburskim: Gare de l'Est, Gare de Strassbourg. Na platformie stoi rozpromieniona Aniuta... Jeszcze wypiękniała. Rzucają się sobie w objęcia.. Lecz trzeba zająć się rzeczami i biletami, które przyjdzie oddać u wyjścia. Aniuta zasypuje Zofię pytaniami, ta jednak zbywa je pokrótce, obiecując sobie odpowiedzieć obszerniej w dorożce. Przechodzą lekkim krokiem platformę, oddają bilety. Bagażu niema, walizkę niesie tragarz... Wtem podchodzi do nich młody, średniego wzrostu, bardzo przystojny mężczyzna... Aniuta staje w płomieniach... W zakłopotaniu chwytając siostrę za rękę: „Soniu! — bełkocze — pozwól, że ci przedstawię Wiktora, Wiktora Jaklard'a... to mój mąż!“

Grom z jasnego nieba uderzył w Zofię. Jaki? Wtedy, gdy marzyła, ile to tajnych kółek, ile potężnych organizacji stwarza Aniuta, ile wielkich planów urzeczywistnia, ilu robotników paryskich zdobywa dzielnem słowem agita-



torskiem, ilu ich zdobywa dla całej sieci stowarzyszeń rewolucyjnych —: Aniuta zdobyła jednego! Jakiegoś tam studentkę medycyny, w dodatku jeszcze Francuza! Zaplanowała nad sobą, jak mogła, (a mogła wogóle niebardzo) i kwaśno się uśmiechnęła, podając rękę tak niepożądanemu szwagrowi.

Wsiadł z niemi do powozu; ani więc myśleć o poufnej, serdecznej rozmowie. Szczęściem droga była niedaleka. Doróżka zatrzymała się przed jednym z owych małych hotelików, w które tak obfituje dzielnica „łacińska“. Cuchnące schody, po których, o każdej porze dnia i nocy, rozchodzi się wstrętna woń frytury... Wilgotne pokoje, zięjące zgnilizną, jak gdyby latami całemi stały pustką... Bielizna podejrzanej świeżości, świeca, na szeroki otwór lichtarza, za cienka; wiecznie zaspany lokaj i gospodyni o zbyt uprzejmym uśmiechu w chytrych oczach... Ale dla młodych, zgłodniałych żołądków wszystko to są drobnostki: w pokoju Aniuty podano już herbatę i wędliny. Rozpoczyna się wesoła rozmowa i przy szumie samowaru, prawdziwego rosyjskiego samowaru, wrogie usposobienie Zofii topnieje.

Gawędka toczyła się aż do późnej nocy. Wreszcie poczęły się kleić oczy zmęczonej drogą Zofii. Pokoik dla niej był przygotowany. Odprowadziła ją do pokoju tego Aniuta; lecz na poufną rozmowę było już za późno. Aniuta uściśnęła ją szybko i jakby ukradkiem... — Młody czeka ją małżonek! — pomyślała Zofia z pewną goryczą, z goryczą rozczarowania, nie zaś zazdrości. Więc tak oto runęły piękne gmachy ogólnego szczęścia!... Zmęczenie rwało dalsze rozmyślanie i, rzuciwszy się wpoł rozebrana na łóżko, Zofia zgasiła świecę. Znużona była bardzo, sen jednak nie chciał skleić jej powiek...

[Tu urywa się rękopis...]

Pomimo tego rozczarowania, stosunek Zofii Kowalewskiej do jej siostry, Anny Wasiliewnej, a raczej „Aniuty“

nie zmienił się. Starsza siostra silnem odczuwaniem kobiecem, zdolnością nieustającego *In-sich-hineingehen* przy zupełnem oddaniu się życiu, przy śmiałem wyciągnięciu dwóch ramion dziewczycy do życia, górowała nad Zofią. Ten uśmiech do życia był przecież dowodem nieustraszonej odwagi, a jednocześnie zdawał się być uśmiechem rycerskiego podboju...

„Aniuta“, jak wiemy, wyszła za mąż za Wiktora Jaclard'a. Jako student medycyny, Jaclard zapoznał się z Blanqui'm, przeniesionym z więzienia do szpitala. Oczarowany tym niemal że wiecznym więźniem stanu, spiskowcem, który w celí więziennej rozmyślał o drodze do „gwiazd przez wieczność“, Jaclard stał się pośrednikiem między Blanqui'm a rewolucyjną młodzieżą w „dzielnicy łacińskiej“.

Było to w ostatniem dziesięcioleciu cesarstwa, po wojnie włoskiej, a przed zmianami z 1869 roku. Tradycyjny ruch republikański, reprezentowany przez tak nazwane później „stare brody“ z 1848 roku, ustępował miejsca nowej opozycji. Ruch robotniczy, pod wpływem Proudhon'a, wyodrębnił się coraz bardziej; zjawia się młoda „inteligencja robotnicza“, mająca dowieść, że pożądana przez Proudhon'a „udolność polityczna — *la capacité politique* — klasy robotniczej“ dojrzeła. W ten sposób zrodził się konflikt między starą opozycją demokratyczną, tradycyjną, stojącą wyłącznie na gruncie politycznym (mianowicie republikańskim), skłonną do taktyki chwilowo wprawdzie nie rewolucyjnej, ale zawsze do wielkich gestów i nieprzejednanego do cesarstwa stosunku, a młodą robotniczą opozycją, która zamach stanu uznawała jako fakt spełniony, pomimo że go moralnie potępiała. Biorąc zaś samo cesarstwo za wyraz pewnego ekonomicznego — „burżuazyjnego“ — jakby dziś powiedziano — ustroju, zwalczała je mniej lub więcej legalnemi środkami, usiłując zdobyć dla klasy robotniczej stanowisko, dotychczas nawet przez demokrację republikańską negowane. Robotnicy zaczęli tworzyć legalną opozycję.



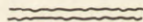
Słowem zrodził się wtedy spór między organizacjami robotniczymi a demokracją mieszczańską, spór, który po części trwa do dziś dnia, i w którym to ta, to druga, to wreszcie obie strony jednocześnie przeciągają struny. Ale około 1867 roku sytuacja była tem bardziej zawikłana, że sama forma zamachu stanu, za pomocą którego Napoleon III doszedł do władzy, musiała w części przynajmniej opozycyi, a szczególnie w *quartier Latin* obudzić pragnienie odpłacenia uzurpatorowi pięknem za nadobne i obalenia dynastyi za pomocą rewolucyjnego *coup de main*. Mimo woli wracano do pojęć politycznych Barbes'a i Blanqui'ego z przed r. 1848, gdy oto sam Blanqui zaczął osobiście, za pośrednictwem Jaclarda, oddziaływać na młodzież francuską i na skrajną opozycję republikańską.

Wtedy właśnie Anna Wasiliewna poznała Jaclard'a. I rzecz naturalna, że wpływowi jego uległa, znalazła tu bowiem formułę, zaspokajającą zarówno ową „ludowość“, która tak pięknie wyróżniała inteligencję rosyjską, jak i pragnienie wyzwolenia ojczyzny z ucisku despotyzmu.

Z Jaclard'em Anna Wasiliewna przeżyła ostatnie lata cesarstwa i komuny. Podczas komuny Jaclard, kapitan gwardyi narodowej (federalnej), dostał się do niewoli w ręce Wersalu. Wtedy — o dziwo! — stary generał Korwin Krukowskiej, ojciec Aniuty, przybywa do Paryża, by uwolnić zięcia. Komunard nie raził go: jako wojskowy prawdopodobnie sympatyzował z gniewem Paryża przeciw tym, którzy pokój wersalski podpisali. Dosyć, że ojciec Aniuty, przyjęty dobrze przez Thiersa, urządził Jaclard'owi ucieczkę — z koniwencją władz.

Młode małżeństwo przeniosło się do Szwajcaryi, a potem do Rosyi, by po amnestyi przepędzać czas to we Francyi, to w ojczyźnie Aniuty. Osobiste jednak życie Anny Wasiliewny zachmurzyło się. Energia jej została złamana, marzenia jej rozwiały się. Choroba i pewna ociężałość „rosyjskiej szlachcianki“ dolewały oliwy do ognia, który ją pożerał. W 1887 czy też w 1888 roku Marya Mendelso-

nowa, sama przebywając nielegalnie w Królestwie i w Rosyi, oddała mieszkanie swoje do dyspozycji Anny Wasiliewny Jaclard, która miała poddać się operacyi. Najznakomitsi lekarze francuscy, których więcej obecnością swą aniżeli radą zawodową podniecał w staraniach Jerzy Clemencau, leczyli Annę Wasiliewnę. Starania ich nie odniosły pożądanego skutku i Aniuta umarła w mieszkaniu autorki tych wspomnień. O tym smutnym wyniku choroby dowiedziała się Marya M. dopiero po powrocie z kraju. Jednocześnie doszła ją wiadomość o śmierci własnego ojca — Wincentego Zaleskiego. List Zofii Kowalewskiej, który M. M. z „pewnem wahaniem“ poniżej podaje, odnosi się właśnie do owej podróży „konspiracyjnej“, o której tylko co była mowa.]





## II.

Jak wspomniałam, wkrótce już młodej Zoe dana być miała sposobność okazania, ile wdzięczności czuje dla Zofii Kowalewskiej...

Było to w początkach lata 1883. Poszłam pewnego dnia odwiedzić Zofię. Otworzyła mi Zoe. Uderzyły mnie odrazu zaczerwienione oczy dziewczyny i wzburzenie, malujące się na jej twarzy.

— Cóż się tu stało? — zapytałam.

— Spotkało Zofię Wasiljewnę wielkie nieszczęście: umarł jej mąż... odebrał sobie życie — dodała Zoe cicho.

Mówić tego dnia z Zofią nie mogłam. Z nikim widzieć się nie chciała. Zapuściwszy w swoim pokoju stopy, siedziała sama w mroku i płakała.

Powróciłam następnego dnia. Nastrój jej był niezmienny. Od chwili, kiedy nadszedł fatalny list, nic jeszcze nie jadła. Stan jej zaczynał budzić obawy. Wezwano doktora. Zofia przyjąć go jednak nie chciała. Piątego wreszcie dnia, wycieńczona zgryzotą i tyłodniowym postem, straciła przytomność. Z okoliczności tej skorzystał lekarz, siłą otworzył zaciśnięte usta i wprowadził w organizm w ten sposób nieco płynnego pożywienia. Poczem chora zasnęła.

Zoe była pełna oddania i nieustającej troskliwości dla chorej; nie odstępowała jej ani na chwilę.

Kiedy powróciłam szóstego dnia, Zoe szybko wybiegła na moje spotkanie.

— Jest ocalona, mówi lekarz. Zbudziła się dziś rano i nie wyrzekłszy ani słowa, nagle podniosła się na łóżku i poczęła na kołdrze kreślić jakieś znaki. Potem zażądała odemnie ołówka i papieru. Zajęta jest zagadnieniem matematycznym. To dobry znak u niej. Zresztą chciałaby się z Panią widzieć. —

I wprowadzono mnie do Zofii.

Znalazłam ją bladą i wychudzoną. Oczy jej były jak oczy mądrego, posłusznego dziecka. Absorbowało ją całkowicie rozwiązanie jakiegoś matematycznego zadania. Ten problemat czysto abstrakcyjny, który pozwalał zapomnieć jej o bólu, zdawał się ożywiać znów wyczerpane ciało, krzepić je ruchem pracy duchowej.

Czasu następnych dni odzyskała przytomność zupełnie. Powracała do sił bardzo wolno i w tej właśnie epoce rekonwalescencji stosunek naszej przyjaźni umocnił się silnym węzłem.

W długich rozmowach, które urywał dopiero świt, opowiadała mi Zofia o dzieciństwie swoim, o pierwszych snach, o młodości, poświęconej całkowicie pracy, o nadziejach i rozczarowaniach swoich. Słuchając dziejów jej dzieciństwa, nie mogłam się oprzeć smutkowi i współczuciu. Wydała mi się jak małe ptaszę, nieopierzone jeszcze a słabe, jak małe takie ptaszę, które oto wypadło z gniazda i drży z zimna i z trwogi. Świat wydawać się jej musiał wtedy bardzo ciasnym i pustym —: świat to był sług, gdyż na opiece sług pozostawiali ją rodzice. Jest to zresztą dola przeważającej ilości dzieci bogatych rodzin rosyjskich. Otoczone wychowawczyniami, pokojówkami, lokajami, dzieci te widzą pierwszy obraz życia jako obraz życia pokoju kredensowego i pokoju służby. Dramaty przedpokoju są pierwszymi dramatami, które wstrząsają młodemi ich ser-



duszkami i cała ta nędza ludzka ze wszystkimi wadami swojemi, z całą swoją złośliwością i jadowitością pozostawia ślad niezatarty we wrażliwej duszy dziecka. Później zadziwiamy się sami, skąd wrósł w samo dno naszej duszy jakiś rodzaj obrzydzenia do człowieka, jakies nieokreślone rozczarowanie w stosunku do stworzenia ludzkiego. Często nie umiemy zdać sobie sprawy z nagłego uczucia niesmaku, jakie chwyta nas na widok niektórych, spotykanych w życiu istot. Dążymy do jakiegoś ideału, marzymy o doskonałości, podziwiamy piękno i zasługę —: i oto nagle czujemy w ustach smak goryczy, zwątpienie bez nazwy ściska nam serce. Fatalny ten sceptycyzm zakiełkował może w nas nieświadomie czasu pierwszego naszego dzieciństwa, wtedy właśnie, kiedy byliśmy bezwinnymi widzami niskich intryg, ordynarnych podejść i całego tego brudu, jaki pełni się w służalstwie i niewolnictwie.

Z opowiadań Zofii wyniosłam wrażenie, że młodość jej była młodością wypełnioną przez pracę, przez trawiącą i wycieńczającą pracę umysłową. Mając przed sobą jeden jedyny cel — naukę i do niej dążąc z niezmienną wytrwałością, o namiętności, o osobistych jakichś uczuciach wie-dzieć nie chciała; przechodzi obok miłości, a nie ma dla niej wogóle oczu. Formalnie poślubiona Kowalewskiemu, w tym celu wyłącznie, jak sama mówiła, aby móc dokończyć studyów, długi czas nie spostrzega, że mąż jej kocha ją. Dopiero, kiedy uzyskała stopień doktora matematyki i straciła ojca, dopiero wtedy, pod wrażeniem bólu i w uczuciu osamotnienia zgodziła się na to, aby zostać żoną Kowalewskiego. Związek ten wszakże nie okazał się widać szczęśliwym. Nastąpiła smutna katastrofa. Kowalewski, wpadłszy w gorączkę spekulacyjną, przekonany o tem, że spowodował ruinę żony i dziecka, sam odebrał sobie życie. Gdy minął pierwszy gwałtowny ból, Zofia pomyśleć musiała o dziecku, które odtąd swoją pracą utrzymywać była zmuszona. Mówiła mi, że będzie się starała o lekcye w liceach i pensyonatach kobiecych i właśnie, kiedy mi to

mówiła, otrzymała od profesora Mittag-Lefflera list, powołujący ją na uniwersytet w Sztokholmie, w charakterze prywatnej docentki przy katedrze matematyki.

Łatwo wyobrazić sobie, jak ucieszyła się Zofia tym listem. Wyjechała wkrótce, pełna szczęścia.

Przytaczam poniżej kilka listów, które otrzymałam od niej po jej przybyciu do Sztokholmu.

Sztokholm, Kommändörsgatan, 10.

Kos Fru Vidmark.

26/12 1883.

Kochana Pani!

Od wieków naprawdę nie miałam żadnych wiadomości od Pani, a ostatnie, jakie mnie doszły za pośrednictwem naszego przyjaciela Vollmara, nie były pomyślne. Podobno droga Pani wciąż jeszcze jest cierpiąca, sprawy zaś, które Pani leżą najbardziej na sercu, wzięły smutny obrót.

„Przedświt“ nie wychodzi już, a przyjacielowi Pani, Mendelsonowi, grozi niebezpieczeństwo, że będzie wydany Rosyi, gdy się skończy jego niewola niemiecka! Żeby kochana Pani wiedziała, jak mnie to boli! Chociaż nie pisałam, bardzo często myślałam o Pani, i takbym pragnęła zobaczyć się z Panią i pogawędzić swobodnie, jak to nie raz bywało tego lata. Przypomina sobie Pani? Ale, kto wie, kiedy nasze drogi znów się zejdą! Narazie jestem w Sztokholmie; moje wykłady matematyki na uniwersytecie rozpoczną się za jakie dwa tygodnie i z trwogą myślę o chwili, gdy po raz pierwszy stanę przed moimi słuchaczami. Sztokholm jest dość ładnym miastem. Co do towarzysstwa jest to taka mieszanina pojęć nowych i wolnomysłnych na tle patryarchalnym i wybitnie germańskim, że nie zdążyłam się jeszcze zorientować w tem otoczeniu. Mam już wielu przyjaciół, ale też i nieprzyjaciół; ci ostatni skupieni są w uniwersytecie w Upsali. Może Pani wie, że uniwersytet w Sztokholmie otworzono niedawno, podczas gdy uniwersytet w Upsali (małe miasteczko o godzinę drogi



od Sztokholmu) istnieje od kilku wieków. Obecnie dwa te uniwersytety przedstawiają dwa kierunki przeciwne: Upsala jest centrem konserwatyizmu, wiedzy ortodoksyjnej i starych tradycji — do Sztokholmu zaś garnie się cała młodzież, ludzie wolnomyślni i kto tylko jest „rührig“ w Szwecyi.

Może sobie Pani łatwo wyobrazić, że te dwa uniwersytety bardzo rywalizują ze sobą. Słuchacze są po największej części po stronie Sztokholmu i napływają do nas masami, mimo tego, że Upsala zapewnia im wielkie korzyści materialne; fakt ten przyczynia się niemało do rozgorzyczenia naszych kochanych sąsiadów przeciwko nam. Gdy w Sztokholmie ogłoszono oficjalnie moje wykłady, słuchacze matematyki z Upsali wywiesili niezwłocznie te ogłoszenia w swoim stowarzyszeniu, co wywołało wybuch oburzenia między profesorami upsalskimi. Jedno całowieczorne posiedzenie upłynęło im na oczernianiu mnie; odmówili mi wszelkich wiadomości naukowych, robili aluzje najpotworniejsze a zarazem śmieszne co do mego przyjazdu do Sztokholmu i t. p. Jednem słowem nie przypuszczałam tyle zapału u tych poczciwych i pokojowo usposobionych Szwedów! Na nieszczęście, między tymi profesorami z Upsali są osobistości w Szwecyi bardzo wpływowe. Król, który protegował z początku uniwersytet sztokholmski, nabrał teraz przekonania, że uczelnia ta mogłaby się stać ośrodkiem wolnomyślicielstwa i dążeń radykalnych, odwrócił się tedy od niej...

Tak się mają rzeczy.

Do widzenia, droga Pani! Wyglądam wiadomości od Pani.

Zofia Kowalewska.

List, który następuje, zaopatrzyć muszę w pewne wyjaśnienie.

Dla Polaków Zofia miała specjalną predylekcyę i ilekroć szło o wydanie opinii co do kogoś, kto przynależał do nieszczęśliwego naszego narodu, przyjaciele obwiniali Zofię o stronniczość sądu. Biografka Zofii, księżna Cajar-

nello, usiłowała wywieść tę szczególną sympatyę Kowalewskiej z jakichś niezrozumiałych jej uczuć dla pewnego matematyka-Polaka, który liczył się do jej przyjaciół. Jednakoż Zofia sama dostarczyła mi wyjaśnienia znacznie prostszego. Nieraz miałam sposobność zwalczania jej zbyt pochlebnego poglądu o moich współziomkach i wtedy to dowiedziałam się, że miłość jej dla Polaków ma początek w czasie dużo wcześniejszym. W epoce pierwszej swojej młodości, Zofia zaprzyjaźniona była z rodziną byłego ministra wojny, Miliutina. Usłyszała w tem kole dokładnie opowiedziane dzieje Sierakowskiego. „Był to także — mówiła mi — ulubiony mój przedmiot rozmowy; mogłam słuchać opowieści tej bez końca i za każdym razem bohater jej wyrastał w moich oczach na olbrzyma“. Opowiadała też Zofia historię Sierakowskiego znajomym Rosyanom i Francuzom — opowiadała (a) ją często w mojej obecności. W Polsce dzieje te znane są powszechnie. One to właśnie wywarły na Zofię tak silne wrażenie. Tragizm i romantyczność postaci Sierakowskiego pozostawiły w umyśle jej głęboki ślad. Z właściwą sobie żywością uogólniała fakty — widziała w każdym Polaku zarodki genialności i bohaterstwa, jakie zachwyciły ją w Sierakowskim, i od owej chwili los Polski interesował ją bardzo.

A oto list:

Sztokholm, 14 Ostra Hummlegårdsgatan.

19. 1. 1884.

Moja kochana Pani!

Jestem bardzo wzruszona, że Pani przypomniała sobie moją przesadną wiarę w dobre znaki i że mi Pani przysłała kalendarzyk na Nowy Rok. Wierzę też, że mi przyniesie szczęście, tymczasem zaś ile razy go otwieram, by coś w nim zapisać, myślę o kochanej Pani — a myśl o Pani jest mi zawsze miłą.

Jak to smutno, że sprawy nie idą po myśli! Najgłębiej poruszyła mnie dezercya rudowłosego przyjaciela. Że



jest anarchistą, zgodne to zupełnie z jego indywidualnością i z jego usposobieniem! Ale uznając nawet anarchizm, jako formę ostateczną i idealną, mającą zapewnić pokój rodzajowi ludzkiemu, nie podobna nie przyjąć formy rządu pośredniej, jako koniecznego następstwa obecnego stanu rzeczy. I jakże on może tego nie rozumieć?! Każda walka wymaga organizacyi o surowej karności, a nam głównie o walkę chodzić powinno; przyszłe pokolenie, więcej oświecone i oswobodzone od przestarzałych więzów, zapewne z większą bystrością, niż my, będzie umiało wybrać formę rządu ostateczną. Nie umiem sobie wyobrazić Dicksteina bez was! Z kogo składa się teraz właściwie redakcja Przedświtu? Niech mi też Pani powie, czy zamierzona koalicja Rosyan i Polaków przysłała do skutku? Pisałam niedawno do Ławrowa, prosząc go, by mi napisał, jakie się ukazały nowe wydawnictwa Narodnej Woli i gdziebym je mogła dostać, ale nie otrzymałam żadnej odpowiedzi od niego. Jeżeli go kochana Pani zobaczy, niech się go Pani łaskawie zapyta, czy otrzymał mój list i czy zechce mi udzielić wskazówek, o które go proszę. Znalazłam tu, i to w kołach, gdzieby się można było tego najmniej spodziewać, wiele osób, żywo interesujących się socjalizmem. Zdaje mi się też, że w Szwecyi jest sporo żywiołów, z których możnaby utworzyć partyę socjalistyczną bardzo poważną; ale Niemcy powinnyby się tem zająć przedewszystkiem, bo wydaje mi się, że tutejsze stosunki mają pod niejednym względem wiele podobieństwa z niemieckimi z tą różnicą, że tu jest daleko więcej wolności i że Szwedzi, a szczególnie Norwegczycy mają więcej zapału i są bardziej przystępni ideom szlachetnym, niż Niemcy.

Jakże odpowiada ostatnia katastrofa, która dotknęła przyjaciela Pani (Waryńskiego) obrazowi, jaki sobie o nim urobiłam z opowiadań Pani! (b) Ale nie wierzę, aby to był koniec jego drogi! Człowiek energiczny, zręczny i przedsiębiorczy jak on, potrafi wydostać się z matni.

Bardzo też proszę Panią, by mi Pani napisała o Men-

delsonie, skoro tylko Pani dowie się czegoś o jego losie; i mnie losy jego bardzo obchodzą.

Nie wiedziałam, że dzienniki polskie pisały o mnie. Bardzo mnie cieszy, że Polacy upominają się o mnie, jako o swoją, bo co do mnie, dla żadnego narodu nie miałam tyle sympatyj, co dla Polaków. Czasu dziecińczych lat o niczem nie marzyłam tak żarliwie, jak o tem, by wziąć udział w jakimś powstaniu polkiem i, czy uwierzy Pani? —: w miarę, jak żyję, z coraz większem zdumieniem stwierdzam, że w pierwszej młodości miałam jakoby przeczucie tego, co mnie spotkać miało później. I kto wie, czy i to moje marzenie dzieciinne nie spełni się kiedyś! Narazie jestem tu bardzo zajęta i troska, aby umocnić moje stanowisko na uniwersytecie i otworzyć ostatecznie tę drogę kobietom, pochłania mnie całkowicie. Nowa praca matematyczna, niedawno rozpoczęta, też mnie żywo zajmuje i nie chciałabym umrzeć, nie znalazłszy, czego teraz szukam. Jeżeli zdołam rozwiązać problemat, którym się teraz zajmuję, imię moje będzie zapisane między nazwiskami najgłośniejszych matematyków.

Wedle mojej rachuby, trzeba mi jeszcze pięciu lat, by dojść tu do rezultatów pomyślnych. Ale mam nadzieję, że za lat pięć niejedna kobieta będzie mnie mogła tu zastąpić, ja zaś wtedy dam wolę innym pragnieniom cygańskiej mojej natury. A wtedy, kochana, zjedziemy się gdziebądź! Ale, na miłość boską, niech Pani nie myśli o żadnych karkołomnych sztukach przed tym czasem! W każdym razie obiecała Pani odwiedzić mnie przedtem w Sztokholmie; uważam tę obietnicę za nieodwołalną i obowiązującą pod honorem.

Co do mojego życia prywatnego, nie może sobie Pani wyobrazić, do jakiego stopnia jest mdłe i niezajmujące. Co zaś do ptaków, to mogę się najwyżej tem poszczycić, że nawiązałam niejakię stosunki ze sową. W gruncie rzeczy sowa jest także dobrem i pocziwem stworzeniem i nie powinno się pogardzać niem. Nie posiada wprawdzie świetnego



upierzenia ptaka niebieskiego<sup>1)</sup>, ale przynajmniej wiadomo, z kim się ma do czynienia i człowiek nie jest narażony na niespodziankę ujrzenia po deszczu piórek odfarbowanych, jak to się wydarzyło biednemu, białemu drożdowi Alfreda de Musset...

Niech sobie Pani wyobrazi maszynę rozumującą, obliczającą i wyczekującą, a będzie Pani miała wierny mój wizerunek w chwili obecnej. Zresztą spędziłam znaczną część życia w podobnym nastroju i jestem do tego przyzwyczajona. Wierzę, mimo wszystko, w piękny i olśniewający zachód słońca w przyszłości — a czyż jest coś piękniejszego na tym bożym świecie nad piękny zachód słońca? Czy Pani także w Paryżu zauważyła, jakie tego roku są nadzwyczajne zachody? Tutaj są poprostu wspaniałe! Zapewne Pani już i o tem słyszała, że według zdania astronomów zjawisko to stąd pochodzi, że drogi ziemi krzyżują się z biegiem wielkiej mgławicy. Jakie to dziwne pomysły, że jesteśmy tak blisko ciała, które wkrótce znów zatoni w nieprzemierzonej przestrzeni — nieprawdaż?

Gdy piszę do kochanej Pani, zdaje mi się prawie, że znów jesteśmy razem i gawędzimy, przeskakując z przedmiotu na przedmiot i rozumiejąc się półsłówkami. Tem bardziej, że jest druga w nocy, godzina niebywała na Sztokholm, gdzie się idzie spać, ale niestety, gdzie się też i wstaje... z kurami. Muszę się też w końcu rozstać z Panią. Mam nadzieję, że Pani mi nie da długo czekać na wiadomości o sobie. Załączam uprzejme ukłony dla Sutterlanda i Diksteina, a K. niech Pani powie, że to bardzo niegodnie z jego strony, że nie dotrzymał obietnicy i nie napisał. Niech się pospieszy z listem, a będzie mu przebaczone. Bardzo też Panią proszę, by mi Pani napisała o wszystkich naszych znajomych z Paryża, z którymi się Pani zobaczy, lub o których Pani będzie słyszała. Nie może

---

<sup>1)</sup> Po przeczytaniu powieści V. Cherbulieza „Ladislav Bol-ski“ umówiliśmy się, że tem określeniem nazywać będziemy miłość.

sobie Pani wyobrazić, jak miłą zachowałam pamięć o tych czasach i jak mi jest drogiem wszystko, co mi je przypomina.  
Całem sercem Pani oddana

Zofia Kowalewska.



„Rudowłosy przyjaciel“, jak określiła go Zofia, był to Szymon Dikstein, jeden z pierwszych w r. 1877—8 socjalistów polskich, równie wybitny zdolnościami swemi, jak i uczciwością bez skazy. Ukończył on uniwersytet warszawski, mając zaledwie lat 19 i wkrótce potem emigrował. Z początku pracował jako zecer w Hamburgu i w Paryżu. Wtedy także poddał się wpływom teoryj anarchistycznych. Nie-

długo jednak pozostawał więźniem anarchizmu. Z bliska przekonał się widać, że teoria anarchistyczna nie wytrzyma krytyki, zastosowanie jej zaś praktyczne w rzucaniu bomb na Café Belcourt (w Lyonie — sprawa Cyvocta) oburzyło go. Wtedy Dikstein wrócił do ulubionych swoich prac przyrodniczych, zyskując w laboratorjach paryskich uznanie profesorów Sorbony. Jednocześnie rozpoczął przekład polski dzieł Darwina, który później Dr. Nusbaum doprowadził do końca.

Nie usuwał się jednak Dikstein od pracy politycznej, ale rozczarowanie zapanowało zupełnie nad jego wrażliwą naturą. W Bernie, (szwajcarskiem) pod wpływem tego rozczarowania, Szymon Dikstein odebrał sobie życie w 1884 r.: otruił się kwasem pruskim.

Otrzymawszy wiadomość o jego śmierci, Zofia napisała do mnie następujący list:

Droga, kochana!

Przed kilku dniami otrzymałam Twój list, dziś zaś



dowiedziałam się o tak smutnej i tak niespodziewanej śmierci biednego Diksteina. Vollmar jest strasznie o Ciebie niespokojny, jak przeniesiesz to nieszczęście, a ja nie mniej od niego jestem niespokojna. Napisz nam, kochana, bodaj kilka słów, dla uspokojenia nas; łatwo sobie wyobrazić możesz, że przyjaciele Twoi, znając usposobienie Twoje, tak wrażliwe i impulsywne, znając Twoją drogą, polską, tak łatwo zapalną głowę, bynajmniej nie są spokojni w podobnej chwili.

Co pchnęło biednego Diksteina do takiego kroku? Życie nie jest zaprawdę tak bardzo drogocennym skarbem, a jednak dziwimy się zawsze, ilekroć się go ktoś pozbawia przed czasem. Czy czytałaś „La joie de vivre“ Zoli? Czy przypominasz sobie wykrzyk owego biednego, ubewładnionego przez podagrę starca, którego życie jest już tylko przedłużoną agonią, wykrzyk na wiadomość o samobójstwie jego starej służącej: „Jakże trzeba być głupim, żeby się zabić!“ Zdaje mi się, że bywa tak bardzo często; osoby, które dużo cierpiały, które się niczego więcej od życia nie spodziewają, najwięcej się do życia przywiązują i uważają za wyskok szaleństwa, jeżeli ktoś odbierze sobie życie przedwcześnie. Zastanowiwszy się, widzi się, że życie to strasznie głupia rzecz! Ale zamiast cię rozewrać i uspokoić, sama oto poczynam brnąć w czarnych myślach! Przyznam Ci się, że obecnie mam jakiś chwilowy spleen bez powodu, któryby go usprawiedliwił, gdyż z pozoru wszystko się dobrze dla mnie składa. Może wiesz z dzienników, że jestem mianowana profesorem; ukończyłam też pracę matematyczną, która mnie długi czas zajmowała; mam więc dużo powodów do radości, a jednak od dawna nie odczuwałam tak żywo, jak bardzo życie jest puste i nudne. Nie wspominaj o tem, pisząc do Vollmara. Obawiam się, że nie zrozumiałby mego obecnego nastroju, zasmuciłby się nim tylko. Jest to zresztą nieunikniona reakcja. Byłam zmuszona pracować bardzo wiele, by osiągnąć ten drobny rezultat, teraz zaś wydaje mi się,

że nie był wart tylu wysiłków. Mam nadzieję, że to nastrój przejściowy i że wkrótce zabiorę się znów z ochotą do pracy.

Napisz rychło, droga! Zostaję jeszcze w Berlinie z jakie dwa tygodnie, poczem wracam do Szwecyi.

Do widzenia, kochana moja! Oczekuję kilku słów od Ciebie z wielką niecierpliwością i z wielkim niepokojem.  
Serdecznie Ci oddana

Z. K.

Lato 1885 r. Zofia spędziła w Paryżu i ku radości mojej mieszkała u mnie. Jakież bezcenne spędziłyśmy podówczas godziny! Rozmowom naszym nie było końca i przeciągały się one często aż w późną noc. Pamiętam, że nieraz, gdy rozeszliśmy się już były każda do swego pokoju, — a spałyśmy w przylegających do siebie pokojach, — nagle otwierały się cicho drzwi mojej sypialni i na progu zjawiała się Zofia. Rozbierała się zawsze prędzej odemnie, — zjawiała się już w szlafroku. Siada — poczem nagle wstaje i zaczyna się tłumaczyć, pytać mnie, czy mi nie przeszkadza, czy nie jestem zmęczona itd. itd. Opanowuję się i na ten formalny ton odpowiadam z niejakim zażenowaniem, że przeciwnie, jestem zachwycona. I tak jeszcze przez kilka minut wymieniamy najgrzeczniejsze i najniesmaczniejsze frazesy, aż do chwili, w której jedna z nas nie wybuchni śmiechem... Pękała lodowa zaporą, którą kładłyśmy między siebie same, darząc się uprzejmościami i rozmowy, w ten sposób rozpoczęte, należały do najżywszych i najserdeczniejszych naszych gawęd.

Wyjeżdżając z powrotem do Sztokholmu, Zofia była w nastroju bardzo smutnym.

W parę godzin po wyjeździe wysłała do mnie następujący list:

Kochana Maryo!

Dzisiaj rano prawie że nie miałam czasu, by się uczciwie z Tobą pożegnać i podziękować Ci za gościnność



i przyjaźń, okazaną mi podczas mego pobytu w Paryżu. Bodaj więc w myśli ściskam Cię raz jeszcze, zanim opuszczę kochaną Francję!

Powinłam była zresztą zostać spokojnie z Wami do godziny pierwszej i nie pozwolić Ci wstać tak wcześnie, nie narażać Cię na jeszcze większą migrenę, jakoteż oszczędzić wszystkim naszym przyjaciołom tak ранней wycieczki; powiedziano mi tu, że okręt nie odejdzie przed nadejściem pociągu wieczornego. Podróż potrwa 4 dni, w razie pogody mamy przybyć do Chrystyanii w niedzielę wieczorem. Podróż z Paryża do Hawru odbyłam w towarzystwie jakiegoś zakonnicy i jakiegoś mamy: cały czas rozmawiały o zabezpieczeniu losu maminej córki. Zakonnica grała przytem rolę „swatki“ i polecała gorąco jakiegoś młodego człowieka, który nie znał wprawdzie proponowanej mu narzeczonej, ale miał ochotę wejść w rodzinę. Był to ciekawy obrazek obyczajowy. Zakonnica zwłaszcza była typem nieocenionym.

Tu, na pokładzie okrętu, mówią już po norwesku i po szwedzku. Doznałam dziwnego wrażenia, słysząc znowu te mowy, a nie słysząc już języka francuskiego. Te ciągle podróże są jednak smutne! Zaledwie zdąży serce przywiązać się do kogoś gorąco i szczerze, już znowu przychodzi chwila rozstania.

Jesteś bardzo szczęśliwą, kochana Maryo, mając małe koło zupełnie oddanych Ci przyjaciół, przyjaciół, którzy nigdy Cię nie opuszczają i z którymi łączy Cię tyle spraw wspólnych! Co do mnie, czuję, że się starzeję za każdym rozstaniem! Taki ze mnie biedny, wieczny żyd-tułacz! A tu utrzymują jeszcze, że matematyka wymaga spokoju i równowagi! Gdybym przynajmniej mogła liczyć na obietnicę Twoją, że mnie odwiedzisz w Sztokholmie! Ale jestem pewna, że zapomnisz o mnie z chwilą, gdy Ci zniknę z przed oczu! Biada jednak, moja Pani, jeżeli nie dotrzymasz słowa! Przekonam się wtedy, jak obłudne i powierzchowne są wszystkie Polki, przekonam się, że nie warto się do nich przywiązywać! Ale nie, nie uczynisz tego. Wiem, że jesteś

dobrym, szczerym przyjacielem! Serdeczny uścisk dłoni dla wszystkich naszych przyjaciół, szczególnie dla pana Henryka. Panu Mendelsonowi zaś powiedz, że widocznie chciał się mnie pozbyć jak najprędzej i dlatego poradził mi, bym odjechała pociągiem o 8-ej.

Całuję Cię bardzo, bardzo, bardzo serdecznie. Przez tych ostatnich kilka tygodni poznałam Cię daleko lepiej niż dawniej, i kocham Cię też daleko więcej. Mam uczucie, żeśmy się bardzo zbliżyły, że jesteśmy jakby „rodzone”. A Ty, Maryo, czy będziesz trochę tęskniła za mną? czy może temu Francuzowi<sup>1)</sup> uda się wyrugować mnie z Twego serca? Napisz prędko do Chrystyanii. Pan Henryk powinien mi też napisać.

Całuję Cię niezliczoną ilość razy.

Całem sercem Twoja

Zofia.

Po niewielu dalszych dniach otrzymałam list następujący:

12 lipca, poniedziałek.

Kochana!

Przyjechałam do Chrystyanii wczoraj wieczorem. Czekano na mnie; przybyłam w samą porę, by wziąć jeszcze udział w ostatnich uroczystościach kongresu naukowego. Zdaje mi się, że przypadnie na mnie dostateczna ilość obiadów, mów i toastów, tak że będę mogła być zupełnie zadowolona. Moi przyjaciele: pan Mittag-Lefler i pani Edgren są tutaj; gawędziliśmy wczoraj cały wieczór, udzielając sobie nawzajem wrażeń z ostatniego miesiąca. Czy dzwoniło Ci w uchu, kochana Maryo? Zapewniam Cię, że tym razem powinno było mocno dzwonić. Wogóle tyle myślałam o Tobie podczas podróży, że odczuwam potrzebę ciągłego do Ciebie pisanía. Te odległości i ustawiczne roz-

---

<sup>1)</sup> Był to pewien bardzo nudny i niemądry człowiek, którego unikałyśmy obie, jak zarazy.



iąki są wstrętne, nieprawda? Za ledwie opuściłam Paryż, a już ogarnął mnie głębszy smutek i myślę tylko o tem, jakby znów tam powrócić. Kiedyż to nastanie szczęśliwa era balonów, czas, gdy zniknie z rachub odległość? Na razie dostatecznie dokucz, zapewniam Cię!

Podróż morzem wcale nie była przyjemna. Pani Atlantyka znęcała się nademną bardzo i przez pierwsze dwa dni czułam się nad wyraz nędznie. Ale za ledwie wpłynęliśmy w Skagerrak, wszystkie cierpienia ustały i trudno sobie wyobrazić coś przyjemniejszego nad trzeci dzień mojej podróży. Wybrzeża Norwegii są nader malownicze, a przede wszystkim bardzo oryginalne. Lecz muszę przerwać opis, gdyż wołają, abym się spieszyła na zebranie.

13 lipca, wtorek. — Kończę list w pośpiechu, by go dziś wysłać. Wczorajszy dzień był bardzo męczący, choć wielce przyjemny. Byłam przedmiotem wielkich owacyj. Wybrano mnie prezydentką sekcji matematycznej. Podczas obiadu oficjalnego profesor Björkaes wygłosił długi speech na moją cześć, wszyscy zaś uczestnicy, zwłaszcza studenci z Chrystyanii, takie bili brawa, że się mury trzęsły.

Jutro wybieramy się w naszą małą podróż. Ściskam Cię bardzo czule, kochana, droga Maryo! Sercem dziękuję Ci za przyjazne uczucia. Zachowaj mi je! Są mi droższe, niż wypowiedzieć to potrafię! Wiele serdeczności dla pana Henryka. Może będę miała dziś dość czasu, by mu wysłać pocztą mój mały dług. Pisz prędko pod następującym adresem: Suède. Jenitland, Dufed. Prof. Mittag-Lefler pour Mme Kowalewski.

Dufed.

Bardzo droga Maryo!

Od wczoraj dopiero znajduję się znowu w okolicach cywilizowanych i mam możliwość napisania do Ciebie. Podróż w góry Norweskie przeciągnęła się daleko dłużej, niż przypuszczałam. Przybywszy do Dufed, zastałam tu ku wielkiej mojej radości dwa listy od Ciebie, jeden adresowany do Chrystyanii, a drugi do Dufed. Dziękuję, droga,

żeś o mnie nie zapomniła. Co do mnie, to bardzo często myślę o Tobie i jakżebym pragnęła być w tej oto chwili w Twoim małym saloniku, a raczej w Twoim pokoju, siąść na niebieskiej kanapce i gawędzić z Tobą! Jakażby to była miła, poufna rozmowa! Z jakąż radością opowiadałabym Ci wrażenia moje z podróży, tak różne. Bo pisać — to zupełnie coś innego, jakkolwiek w gruncie rzeczy wrażenia moje są mało osobiste. Spędziłam przeszło tydzień w szkółce wiejskiej w Norwegii, u pewnego socjalisty norweskiego. To były może najbardziej zajmujące dni mojej podróży. Bardzo mnie interesowało wszystko, com widziała i słyszała. Opiszę Ci to obszernie, gdy tylko będę miała wolną chwilę. Dziś został mi zaledwie kwadransik do odejścia poczty, a mam Ci jeszcze tyle do powiedzenia.

Wyczytałam w czasopiśmie, że odkryto w Warszawie spisec socjalistyczny, zostający w ścisłym stosunku z emigrantami paryskimi i że aresztowano głowę ruchu. Czy to prawda, kochana? Serce ścisnęło mi się na myśl, że nowa klęska spadła na Twoich przyjaciół. Co robi Janowicz? (c) Gdy pomyślę, na jakie niebezpieczeństwo jest narażony obecnie, wydaje mi się dużo bardziej interesujący i czynię sobie wyrzuty, że mu nie okazała więcej przyjaźni w Paryżu. Jakże to straszne, że skazano Vollmara i innych socjalistów w Niemczech! Jakież wstrętne czasy! Czasopisma szwedzkie zajmują się wyłącznie zbliżeniem się Rosyi i Niemiec; jeżeli to prawda, śliczną mamy przed sobą perspektywę! Podróże moje nie skończyły się jeszcze. Za jakie dziesięć dni wyjeżdżam do Rosyi po moją córeczkę. Przyjaciółka moja (Julia Lermontow), na którą liczyłam, nie może jej przywieźć; muszę więc sama pojechać, ale będę z powrotem w pierwszych dniach września. Coby to była za radość, gdybyś wtedy mogła przyjechać! Proszę bardzo, napisz mi zaraz i adresuj list do Sztokholmu: 4, Engelbrecktskatan. Całuję Cię bardzo serdecznie. Wyrazy przyjazne dla Pana Henryka i dla Mendelzona. Proszę Cię też, abys zechciała wręczyć 125 franków Panu



Henrykowi; pożyczyłam je przed odjazdem i jestem tem bardzo zawstydzona, że mu ich dotychczas nie wysłano. Wydałam odpowiednie rozporządzenia w Sztokholmie, lecz nie zrozumiano ich. Do widzenia w wielkim pośpiechu!

Całem sercem Twoja

Sonia.

W jakiś czas później otrzymałam list z Moskwy, z którego podaję tu kilka ustępów:

Droga Maryo!

Piszę Ci parę słów tylko z Moskwy, gdzie bawię od wczoraj wieczór. Przyjechałam tu po moją córeczkę, którą tej zimy zabrać chcę do siebie. Duża to już dziewczynka — ma 7 lat; jest też na swój wiek inteligentna, czyta namiętnie. Zresztą jest dzika i swawolna, dla lalki swojej ma tylko pogardę. Niczem chłopak.

Dwa dni byłam u siostry mojej, w Gatczynie.

. . . . .  
Bywaj zdrowa, droga! Wybacz, że listy moje są tak bez związku. Nie masz wyobrażenia, jak denerwują mnie te ciągle podróże. Za tydzień będę znów w Sztokholmie. Tam już, proszę, wysyłaj listy. Posyłam Ci odbitkę artykułiku, który drukowałam w rosyjskiem czasopiśmie<sup>1)</sup>.

Moja siostra ogłosiła teraz także małą nowelę i prosię ją o egzemplarz dla Ciebie. Z tęsknotą wyczekuję wiadomości od Ciebie. Twoja

Sonia.

Sztokholm, 30 sierpnia.

Kochana Maryo!

Wczoraj wróciłam nareszcie do Sztokholmu i jak na ten rok podróże moje są skończone. W wilię mego odjazdu z Rosyi otrzymałam Twój list i list ten zadziwił mnie niepomiernie. Skarżysz się na brak listów odemnie,

---

<sup>1)</sup> Mały artykuł o Georges Elliot.

ja zaś pisałam dwa razy, raz z Dufed, a drugi raz z Moskwy — pod adresem Pana Henryka, który zdaje się całkiem o mnie zapomniiał. Czyżby te listy zginęły w drodze? Kochana Maryo! jakże smutno mi jest słyszeć, że znów czujesz się samotną! Przyjeźdź do mnie do Sztokholmu! Takabym była szczęśliwa, gdybyś była u mnie! Wrzesień jest zwykle bardzo piękny w Sztokholmie — wczoraj i dziś jest na dworze cudnie. Nie wiem czy podlegasz chorobie morskiej? Jaką drogę mogłabyś obrać, by się tu dostać? Coby to było za szczęście, gdybyś się zdecydowała tu przyjechać! Tyle o tobie naopowiadałam, że wszyscy wyczekują Cię z największą niecierpliwością. Moje wykłady rozpoczynają się 15. września, ale znajdę zawsze trochę czasu dla mojej drogiej, kochanej Maryi! A zresztą, na szczęście, pozostają nam zawsze długie wieczory. W gruncie rzeczy obawiam się tylko tej podróży dla Ciebie! Teraz właśnie mogę ocenić wszystkie niedogodności przeprawy morskiej. Przyjechałyśmy z Petersburga parowcem, przeprawa była nieznośna; ja z odwagą znoszę takie małe przeciwności, ale moja mała była bardzo cierpiąca. To istne nieszczęście, że Sztokholm tak jest daleko od całego świata! Zdaje mi się, a nawet jestem tego pewną, że byłoby Ci w Sztokholmie przyjemnie, idzie tylko o to, by się tu dostać! Czy pan Mendelson nie zdecydowałby się towarzyszyć Ci? Zdaje mi się, że on jedyny z pomiędzy naszych przyjaciół jest wolny obecnie. Odpisz jaknajprędzej; zdaje mi się, kochana, że od wieków nie widział.

Nie mogę dziś obszerniej pisać, mam tyle roboty po powrocie. Moja mała jest bardzo luba; pierwsze czasy będą tu dla niej przykre, gdyż nie rozumie ani słowa po szwedzku, ale ma dużo odwagi i przystosowuje się. Skończy 7 lat za dwa miesiące. Serdeczny uścisk dłoni dla pana Henryka i dla pana Mendelsona. Ten niepocziwy pan Henryk! Zdaje się, że całkiem o mnie zapomniiał, bardzo mu to mam za złe. Z serca Twoja

Zofia.



P. S. Z przyjemnością dowiaduję się, że wiele rzeczy zapomniała u Ciebie. Otworzywszy kufer, byłam zawstydzona na widok tylu przedmiotów, które nie należą do mnie, a które zabrałam ze sobą: jest chusteczka koronkowa, całe pudełko szpilek i nie wiem już, co jeszcze. Całuję Cię bardzo czule. Gdyby Pan Mendelson zdecydował się przyjechać z Tobą, wyszukałabym mu pokój w naszym sąsiedztwie. Pokój Twój jest przygotowany i czeka na Ciebie; nazywam go zawsze w myśli pokojem Maryi, bo mam nadzieję, że raz przecież przyjedziesz. Istna rozpacz te oddalenia! Jeszcze raz całuję Cię

Sonia.

Zdaje mi się wobec tego, że nie możesz jechać przez Niemcy, droga najkrótsza byłaby na Havre-Sztokholm; — są doskonałe parowce, idące wprost — gdyby nie ta choro-  
roba morska!

List, który następuje, otrzymałam od Zofii, gdy dowiedziała się o śmierci mego męża. Że mówi w nim o własnych swoich uczuciach z czasu, gdy dotknął ją cios podobny, sędzę, że i ten list zarówno, jak i dalszy, do tej samej odnoszący się sprawy, zainteresuje czytelnika.

Sztokholm, 4. Vestra Hummlegårdsgatan.

Bardzo droga, kochana Maryo!

List Twój w samej rzeczy głęboko mnie zasmucił, bo aż nadto dobrze rozumiem i odczuwam, co przecho-  
dzisz w chwili obecnej. Przed dwoma laty doświadczałam podobnych kolei i wówczas podobnie, jak dziś w Twojem położeniu, wydawać się mogło, że rzeczy i ludzie zmówili się, by uczynić sytuację jeszcze bardziej smutną, by osamotnienie moje uczynić jeszcze większem i ukazać mi życie w kolorach jeszcze czarniejszych i rozpaczliwszych. Czy to nie dziwnie się składa w życiu, że ilekroć dotknie nas nieszczęście, dziesięć innych uderza w nas jednocześnie,

najniespodziewaniej, ze wszystkich stron, jak gdyby tylko czyhały na pomyślną chwilę, w której mogą w nas ugodzić. Zjawisko to zwróciło moją uwagę jeszcze w dzieciństwie i często odtąd miałam sposobność obserwowania go zarówno we własnym życiu, jak i w życiu mych przyjaciół. Znam wszystkie wyjaśnienia rozumowe, któremi tłumaczy się zwykle ten stan rzeczy, ale przyznam się, że żadne nie potrafiło mnie zadowolić i zapewniam Cię, że mimo wszelką wiedzę, jaką usiłowałam zdobyć, mimo filozofię, którą się starałam rozwinać w sobie, aż po dziś dzień wierzę — zupełnie jak gracz nałogowy — że w życiu każdego człowieka są stałe epoki nieszczęścia i powodzenia!

Ale jak się też ocenia w takich chwilach najdrobniejszy objaw czyjejs przyjaźni! Nie zapomnę tego nigdy, kochana Maryo, jak byłaś dobra i tkliwa dla mnie w czasie, gdy miałam tak mało przyjaciół. Nie, żebym się mogła poszczycić, iż obecnie mam ich wielu i szczerych, ale w każdym razie przyzwyczaiałam się do tej smutnej prawdy i znoszę ją z większą rezygnacją, niż dawniej.

Gdybyś wiedziała jak smutną mi jest myśl, że nie mogę Ci okazać teraz całego mego przywiązania inaczej, jak tylko słowami, a co gorsza, słowami pisanemi! Takbym chciała być z Tobą, takbym chciała, abyś odczuła, jak bardzo Cię kocham i jak mi jesteś drogą! Dobrze to przy najmniej, że masz w Paryżu dwóch przyjaciół sobie oddanych. Dwaj przyjaciele — to dużo, kochana Maryo — a jest i trzeci jeszcze, który choć daleki, nie mniej Ci jest oddany. Pomyśl tylko, jakie życie byłoby zimne i smutne dla nas wszystkich, którzy Cię kochamy, gdyby nam Ciebie zbrakło, Ciebie, naszego drogiego szaleńca! Mam nadzieję, że będziesz o tem trochę myślała i że myśl ta powstrzyma Cię od czynów nieroztropnych. Podziękuj raz jeszcze Stanisławowi Mendelsonowi za wiadomości o Tobie. W ostatnim liście prosi mnie, bym się starała otrzywać informacje legalne o tem, jak notowana jesteś w Rosyi. Tu, ma się rozumieć, niema nikogo, ktoby mógł na



te pytania odpowiedzieć, napiszę jednak do jednego z przyjaciół moich w Petersburgu z prośbą, by zasięgnął jak najdokładniejszych informacji i doniosł Ci o nich, gdy tylko otrzymam jego odpowiedź. Może wiesz, że i pod tym względem byłam w podobnym, co i Ty, położeniu. Po śmierci Kowalewskiego, sprawy moje były tak zawikłane, a majątek tak obciążony długami, że myślałam, iż mi nic nie pozostanie, a co gorsza, owejże chwili zjawili się ludzie, chcący wykorzystać i sytuację, i zupełną obojętność, w jaką wtedy popadłam, i w pierwszym roku po śmierci mego męża jeszcze bardziej pogmatwali interesy (na swoją korzyść ma się rozumieć). Podczas mego zeszłorocznego pobytu w Rosyi, znalazłam przecież starego przyjaciela, który podjął się doprowadzić trochę do ładu interesa moje i któremu się może uda uratować szczątki mego majątku. Może znane Ci jest jego nazwisko? Nazywa się Łamański, był kolegą uniwersyteckim brata Twego. To zacności człowiek. Zajmuje się specjalnie fizyką — był mianowany profesorem w Warszawie; ponieważ jednak nie popierał zapędów rusyfikacyjnych (czego się po nim spodziewano), wolał się podać do dymisyi. Od tego czasu oczywiście nie mógł otrzymać żadnej katedry, na żadnym uniwersytecie rosyjskim. Słyszałam, że jest jedynym profesorem rosyjskim, którego Polacy kochali w Warszawie i że pozostawił dobrą o sobie pamięć. Narazie jednak nic nie otrzymuję z Rosyi i jedynym środkiem utrzymania jest moja pensya profesorska. Bardzo się to szczęśliwie złożyło, że dostała miejsce to właśnie w chwili, gdym tego tak bardzo potrzebowała. To tak strasznie trudno w naszych czasach zarobić na życie, jeżeli się do tego nie zaprawił człowiek w młodości. I to jeszcze jeden powód, dla którego życzyłabym sobie, by stosunki Twoje majątkowe tak się ułożyły, aby zapewniły Ci niezależność od ojca, bo chyba nie byłoby Ci przyjemnie rozporządzać jedynie środkami przez ojca ofiarowywanemi. Postaram się otrzymać jak najprędzej informację, żądane przez Stanisława, i zaraz Ci

je zakomunikuję. Chyba zbyt uczyniła Cię zapewnić, że jeżeli mogę Ci czem służyć, wystarczy, abyś mnie o tem zawiadomiła. Mówiłam z Vollmarem o paszporcie, na wypadek gdyby Ci był potrzebnym, ale spodziewam się, że nie zajdzie tego potrzeba. Paszport Julii K. jest oczywiście do Twojej dyspozycji, tylko tak mało wyglądasz na Szwedkę, że trzeba by być nieskończenie głupim i ślepym, żeby się na tem nie poznać. Możeby było lepiej, gdybym się o paszport zwróciła do przyjaciółki mojej Zenaidy? (czy ją sobie przypominasz?) Paszport jej jest w porządku i chętnie Ci go pożyczę, wiedząc, że mi tem odda przysługę. Daj mi więc znać telegraficznie, czy paszport jest Ci potrzebny? W każdym razie uprzedzę Zenaidę, aby nie zdziwiła się, gdy otrzyma Twój telegram. W razie niespodziewanego wypadku, gdyby paszport był Ci natychmiast potrzebny, możesz wprost do niej zatelegrafować. Ściskam Cię całym sercem, kochana Maryo!

Twoja zawsze

Sonia.

Uścisk dłoni dla Stanisława. Nie mam niestety własnego paszportu: wysłałam go do Rosyi, z prośbą o wykreślenie mnie z liczby poddanych rosyjskich.

Władze rosyjskie nie uwzględniły tej prośby, uprzejmie uzasadniając odmowę słowami, że: „Pani Zofia Kowalewska jest ozdobą Rosyi, że przeto rząd rosyjski nie może się zgodzić na to, aby ją utracić“.

Bardzo droga i bardzo kochana Maryo!

Zwlekałam kilka dni z odpowiedzią na ostatni list Twój, gdyż spodziewałam się, że otrzymam wiadomość z Petersburga i że będę Ci mogła donieść cośkolwiek o kwestjach, które Cię dotyczą. Ale nie wiem czemu przypisać, że przyjaciel, do którego się zwróciłam, nie odpowiada mi i boję się, czy czasem list nie zginął w drodze; zwykle odpisuje on z wielką punktualnością. Nareszcie więc zdecy-



dowałam się napisać do Ciebie, mimo to, że ku memu wielkiemu zmartwieniu nie mam żadnych dla Ciebie wiadomości. Trapi mnie to tem bardziej, że wiem, ile w takich wypadkach waży czas. Nie znam też niestety nikogo w Petersburgu, ktoby mógł mówić o Tobie z Plehwem. Wiesz przecież, kochana Maryo, że od wielu lat opuściłam Rosyę. Jeżeli przyjeżdżam tam na kilka miesięcy, to przyjeżdżam zwykle w lecie i spędzam czas na wsi, nie widując nikogo.

. . . . .

[Z listu tego musimy opuścić bardzo charakterystyczne ale zbyt osobiste ustępy, pomimo że rzucają światło także i na przeciętne stosunki rodzinne, na których układ nieustające zatargi umysłowo-moralne wywierają w naszej epoce niemały wpływ.]

. . . . .

Wysyłam w pośpiechu tych kilka słów, abyś się nie niecierpliwiła milczeniem mojem. Zbyteczna Cię zapewnić, że, gdy tylko otrzymam jakiegokolwiek wiadomości, zakomunikuję Ci je natychmiast. Pani Edgren, autorka szwedzka, o której może słyszałaś, przyjaciółka moja i Vollmara, prosi Cię o odpowiedź na następujące pytanie: Napisała dramat szwedzki o tendencyach bardzo radykalnych; z tego powodu właśnie nie mają odwagi grać go w Sztokholmie. Na innych scenach szwedzkich doznał wielkiego powodzenia. Wspólny przyjaciel jej i V. przetłumaczył go na język niemiecki i podjęte będą starania, aby go wystawiono w Niemczech. Pani Edgren chciałaby wiedzieć, czy nie możnaby go przerobić dla sceny francuskiej? W tym celu trzebaby go najpierw przetłumaczyć en bloc, (nie zwracając uwagi na formę) z niemieckiego na francuski; to tłumaczenie przedłożyłoby się następnie jakiemuś znanemu autorowi francuskiemu i weszłoby się z nim w spółkę, by dramat ten przyswoić scenie francuskiej. Pani Edgren prosi mnie, bym się do Ciebie zwróciła z zapytaniem, czy nie znasz kogoś (może Mendelson?), ktoby się chciał zająć

w Paryżu urządzeniem i zorganizowaniem tej sprawy. Dramat ma 4 akty, ale że sama przetłumaczyłam już pierwszy, pozostają do tłumaczenia trzy. Pani Edgren, która nie ma majątku, chciałaby znaleźć tłumacza pod następującymi warunkami: chce mu zapłacić więcej, niż się zwykle płaci za tłumaczenie, ale tylko w razie powodzenia, to znaczy, gdyby sztukę przyjęła jakaś scena francuska. Osoba, któraby się podjęła tego tłumaczenia, musiałaby przeczytać tę sztukę w języku niemieckim i sama osądzić, czy sztuka wydaje się jej na tyle dobrą, aby chciała ryzykować pracę swoją, zabezpieczoną jedynie szansami ewentualnego powodzenia? Czy znasz kogoś, kochana Maryo, ktoby się w zasadzie podjął tej pracy? Wybacz mi, że trudzę Cię tą sprawą w chwili, gdy jesteś obarczona tylu troskami, ale czynię to wiedząc, że każda praca literacka, szczególnie zaś tłumaczenia są bardzo poszukiwane przez Rosyan i Polaków w Paryżu. Jeżeli znajdziesz chętnego do podjęcia się tej pracy, kogoś, kto rozumie po niemiecku i umie pisać poprawnie po francusku, proszę Cię o łaskawe podanie jego adresu, by Pani Edgren mogła mu posłać do przeczytania tłumaczenie niemieckie. Całuję Cię bardzo serdecznie, biedna, kochana Maryo. Wyrazy przyjazne dla Mendelsoana i Southerlanda.

Całem sercem oddana Ci

Z. K.

Z pewnem tylko wahaniem ogłaszam list dalszy. Zofia mówi w nim wyłącznie o mnie i o rzeczach, mojej dotyczących osoby. Lecz wątpliwości dokładnie rozważywszy, znajduję, że jest to list dla Zofii bardzo charakterystyczny. Ukazuje on owo żywe zainteresowanie, jakie miała Zofia dla swoich przyjaciół, odsłania skłonność jej do idealizowania ludzi, których kochała, jednocześnie zaś oświetla upodobanie jej w analizowaniu i badaniu przyczyn pewnych nastrojów psychicznych. Są to wszystko właściwości powieściopisarskie — właściwości, na które zwracałam jej uwagę



nieraz i o dużo wcześniej, nim rozpoczęła swoją działalność literacką.

18, Villagatan. Sztokholm.  
25. 1. 85.

Kochana!

Od naszego przyjaciela V. dowiedziałam się z prawdziwym żalem o nieodwołalnej jakoby decyzji Twojej<sup>1)</sup>. Zapewne V. uwiadomił Cię, że materyalnej przeszkody w wykonaniu tego pięknego zamiaru niema, bo Julia Kjellberg ofiarowuje Ci swój paszport. Po tem wszystkiem wydawać Ci się będzie z mojej strony dziecinnem (by tylko tak powiedzieć), gdy zapytam: Kochana Maryo! Czyś się dobrze zastanowiła nad tem przedsięwzięciem? A jednak nie mogę się wstrzymać, by ci nie powiedzieć, jak boleśnie ściska mi się serce na myśl, że oto Twoja droga głowa, tak prawdziwie polska, zapalczywa, szalona, a tak czarująca, pędzi Cię znów nieprzepracie w wir niebezpieczeństw. Pytałam się całkiem poważnie V.: niech mi Pan powie prawdę, czy sądzi Pan, że ta podróż Maryi jest konieczną, albo przynajmniej użyteczną dla sprawy? Odpowiedział mi, że nie, że owszem jest przekonany, iż Ty, dusza wszystkiego, co Polacy robią na obczyźnie, jesteś narazie potrzebniejszą tu, na miejscu; ale że ciężar pozornej nieczynności, potrzeba zapomnienia o sobie i pociąg nieprzeparty do niebezpieczeństwa popychają Cię nieodparcie do tej podróży i że ani on, ani ja, nie potrafimy Cię odwieść od tego zamiaru. I w moich żyłach płynie krew polsko-cygańska, dlatego zupełnie Cię pojmuję, kochana Maryo! Nie zdajesz sobie sprawy, jak wielką rolę odgrywa w decyzji Twojej potrzeba poświęcenia się, urok męczeństwa i te ślady niezatarte egzaltacji religijnej, wpojonej od dzieciństwa, ślady, których nie potrafią zatrzeć zupełnie ani rozum, ani rozsądek, ani najzdrowszy realizm. — Kochana Maryo! nie mogę z zimną

---

<sup>1)</sup> Chciałam mianowicie powrócić do Rosyi, jakkolwiek byłam emigrantką. Pod własnem nazwiskiem wróciłbym tam nie była mogła.

krwią wyobrazić sobie Ciebie, osobę tak nerwową, delikatną, pełną życia — gdzieś w głębi więzienia rosyjskiego, skazaną na długie lata wygnania na Syberyę, jednym słowem wystawioną na katusze śmierci powolnej i nieuniknionej, która czeka więźniów politycznych w Rosyi. Śmierć to gorzsza od śmierci na szubienicy, bo jest bardziej bolesna, a nadzieja ucieczki jest w gruncie rzeczy minimalna. W dodatku ta mała garstka, która wraca z Syberyi, jest fizycznie i moralnie złamana, jak np. biedna Bardina!<sup>1)</sup> Mam prawdziwą „Sehnsucht“ za Tobą, kochana Maryo! Długo nie mogłam się zdecydować, aby napisać do Ciebie, bo wszystkie myśli, przelane na papier, wydają mi się takie wyblakłe i małoznaczne w porównaniu z tem, cobym chciała Ci powiedzieć. Jedyną dobrą stroną zamiaru Twego jest, że przyjedziesz do Sztokholmu, że będę mogła uściskać Cię i że będziemy mogły ustnie rozprawić o planach Twoich. Napisz-że mi wkrótce droga, kochana! Oczekuję niecierpliwie wiadomości.

Całem sercem Twoja

Z. K.

Otrzymałam później od Zofii cały jeszcze szereg listów, lecz wiele z nich poginęło mi niestety. Trudno mi także podać je w chronologicznym porządku, gdyż rzadko kiedy noszą datę. Podaję je zatem jako luźną wiązanekę otrzymanych od Z. K. wiadomości.

Kochana Maryo!

Dzięki za dobrą nowinę! Jakże się cieszę myślą zobaczenia Cię wkrótce w Sztokholmie! Bylebyś tylko nie zmieniała projektu i przybyła prędko!

Wykłady na tutejszym uniwersytecie kończą się koło 20. maja. Mam wtedy wyjechać do Rosyi, gdzie oczekują

---

<sup>1)</sup> Bardina, po długoletniem więzieniu i zesłaniu syberyjskiem, osiadła była w Genewie. Rozgorączona i fizycznie złamana, nie mogła przenieść życia wychodźcy politycznego i zabiła się sama.



mnie z niecierpliwością. Mam nadzieję, że się tak urządzisz, by móc tu być przed tym terminem. Jakby to było dobrze, gdybyś mogła przyjechać w kwietniu! Koniec kwietnia i początek maja są zwykle piękne w Sztokholmie. Zeszłego roku wyjechałam stąd 8. maja, drzewa były już zielone i mieliśmy już byli kilka dni przepięknych! Klimat jest wogóle daleko łagodniejszy w Sztokholmie, niż w Petersburgu. Wolę go nawet od klimatu berlińskiego, gdyż zima, chociaż ostrzejsza, jest mniej zmienna. Dla mnie klimat tu- tejszy jest bardzo przyjemny i zdrowa jestem zupełnie, od- kąd tu przebywam.

Co do hotelów, niema wielkiego wyboru w Sztok- holmie. Najlepszy jest Grand Hôtel, stosunkowo niedrogi i bardzo dobry. Kilku znajomych, którzy tam mieszkali, bardzo go chwalili. Jest też hotel Kung Carl Annex, da- leko skromniejszy; zdaje mi się, że będzie najlepiej tam umieścić naszych przyjaciół. Gdyby wybrali jeszcze mniej- szy hotel, ściągnęliby na siebie uwagę i naraziliby się na ścisły nadzór. Wogóle życie nie jest tanie w Sztokholmie; zdaje mi się, że jest nawet trochę droższe niż w Paryżu, bo tu korona ma tę samą wartość co frank w Paryżu, a ko- rona to przecież 1 fr. 40 c.

Mam następujące plany na lato: Wyjadę stąd koło 20. maja, zostanę w Rosyi do 15. lipca i zakończę waka- cye w Anglii, gdzie mam zamiar wziąć udział w kongresie Stowarzyszenia Wielkiej Brytanii i będę z powrotem w Sztok- holmie z końcem września. Spodziewam się, że nie zmienisz projektu i z wielką radością myślę o tem, że Cię wkrótce zobaczę.

Kochana Maryo, czy nie posłałaś mi w tym roku, podobnie jak w roku ubiegłym, małego kalendarzyka na szczęście? Wyobraź sobie, że go nie otrzymała. Dostałam tylko zawiadomienie z poczty, że wysłano z Paryża małą paczkę pod mojem nazwiskiem, poczem uwiadomiono mnie, że ten pakiecik zginął w drodze. Żądałam szczegółowego opisu tej paczki, kazałam sobie pokazać przekaz, na którym

rozpoznałam Twoje pismo — tak mi się przynajmniej zdaje. Nie śmieję się ze mnie, kochana Maryo, ale jestem natyle zabobonna, że ten wypadek jest całą dla mnie tragedją i bardzo Cię proszę, byś zechciała co do paczki tej zasiągnąć informacyj na poczcie w Paryżu, jeżeli Tys to ją istotnie wysłała. Powiedziano mi tu, że tylko wysyłającemu przysługuje prawo reklamacyi. Nie śmieję się ze mnie, ale bardzo mnie zasmuca zguba „talizmanu“, ofiarowanego mi przez Ciebie.

Do widzenia, droga, kochana. Napisz prędko. Niecierpliwie oczekuję wiadomości od Ciebie, bo chciałabym wiedzieć, czy doprawdy wkrótce zobaczę Cię w Sztokholmie.

Całem sercem oddana Ci

Z. K.

Właśnie w chwili, gdy list kończę, otrzymuję list od naszego przyjaciela Vollmara. Donosi mi, jak jest szczęśliwy. Coprawda, od niejakiego czasu już, domyślałam się tego. Jestem bardzo zadowolona i zadowolenie moje odnosi się zarówno do niego, jak i do niej. Julia Kjelberg jest uroczą osobą. Jestem pewna, że poznawszy ją, bardzo ją pokochasz. Vollmar i Julia różnią się bardzo pod wielu względami, ale właśnie dlatego tak sobie odpowiadają. Cieszę się niezmieśnie tą nowiną.

13 czerwca. Moskwa.

Droga!

Dziękuję Ci za miły list, który mnie doszedł dziś dopiero. W istocie gniewałam się trochę na Ciebie za długie milczenie i posądzałam Cię, żeś o mnie zapomniiała; miałam zresztą wiadomości o Tobie za pośrednictwem Julii Kjelberg (narzeczonej, a raczej teraz już żony Vollmara). Nie umiem Ci powiedzieć, jakabym była szczęśliwa, gdyby urzeczywistnił się Twój plan przyjechania do Sztokholmu z końcem września. Jakby to było cudnie, gdybyśmy tu byli wszyscy razem! Zdaje mi się, żeś Cię od wieków nie wi-





działa. Osobiście nie mam narazie żadnych na przyszłość planów i brak mi też energii, by je układać. Nie wyobrazisz sobie, jak się cieszę dobrymi nowinami o moim kalendarzyku „talizmanie“. Liczę na to, że nikomu nie zdradzisz, do jakiego stopnia jestem zabobonna; co prawda bardzo jestem zabobonna, strata zaś tego kalendarzyka utwierdziłaby mnie jeszcze bardziej w przesądzie. W życiu mojem oficjalnem wszystko jest w porządku i jak się należy, ale przyznam Ci się, że moje sprawy osobiste strasznie się pogmatwały i pozostawiły wielką pustkę w mojem życiu; moje małe „ja“, wymagające i samowolne, często buntowało się w przeciągu ostatnich miesięcy i nie chciało się poddać rozumowaniu o bezwartości i nietrwałości szczęścia osobistego, nie chciało się poddać, mimo trudu, jaki sobie zadawałam, by je przekonać. Pozostał we mnie z tego wszystkiego wielki osad apatyj i obojętności w stosunku do mnie samej, tak że nawet nie chcę nic żądać dla siebie od przyszłości. Narazie zdaje mi się, że osiągnęłam niemal ideał bezosobowości. Odgrywam niejako rolę siostry miłosierdzia. Żyję w otoczeniu wielu ludzi, którzy mnie

w gruncie rzeczy niebardzo obchodzą, ale którzy mają mniejsze lub większe zmartwienia i którym jest potrzebna moja pomoc moralna. Najgorsza, że doskonale sobie z tego zdaję sprawę, iż pomoc im radykalnie nie można; ale niema w tem prawie poświęcenia z mojej strony, że z nimi właśnie spędzę wakacye, bo nic mnie nie ciągnie w inne strony. Podzielałam zachwyt Twój dla Paryża; dobrze jest tam tylko żyć, nie zaś przyjeżdżać na czas kilku tygodni. Jakżebyłam była szczęśliwa, gdybym tam mogła znaleźć takie pole działania, jak tu w Sztokholmie! Ale niema o czem myśleć! Francuzi nie tak prędko zgodzą się na kobietę-profesora, chociaż od nikogo nie słyszałam tyle komplementów z okazji mojej nominacyi, co od matematyków francuskich właśnie. Uważają jednak, że dobre to jest za granicą, nie zaś u nich, w domu.

Przyjeżdż do Sztokholmu, kochana Maryo, aby mnie trochę ożywić. Grozi mi bowiem wielkie niebezpieczeństwo: zmienię się wkrótce w podręcznik matematyki, który się otwiera, szukając pewnych formułek, ale który przestaje istnieć, gdy go się umieści na półkach, między innymi książkami. Nie wiem nawet, czy, mimo wielkiego swego talentu intuicyjnego, potrafisz odgadnąć, jaka treść kryje się między wierszami tego nudnego starego podręcznika.

Oddawna nie uśmieiałam się tak serdecznie, jak dziś rano, myśląc o Twoim biednym *monsieur l'abbé*, któremu się tak znakomicie udał zamysł nawrócenia Cię! Co za zuchwalec! Nie wiem cobym była dała za to, żeby was móc zobaczyć razem i podsłuchać waszej budującej rozmowy.

Czytam teraz „Spowiedź“ i „Co czynić?“ Tołstoja. Zapewne słyszałaś o tych książkach, które są zabronione w Rosyi, ale które kursują w tysiącnych egzemplarzach i które każdy ma w ręku. Szuka pokoju i kończy na socyalizmie. Rozpacz i samobójstwo — oto do czego dochodzi fatalnie każdy człowiek myślący, póki będą istnieli ubodzy i bogaci na ziemi. Co za rezultat niespodziewany



dla piewcy i apostoła „pomieszczyć”! (drobna szlachta wiejska).

Dość na dziś, droga Maryo. Napisz prędkiej i opowiedz mi szczegółowo o sobie. Czy potrafisz napisać mój adres literami rosyjskimi?

Moja córeczka jest teraz ze mną i już mnie nie opuści. Ściskam Cię czule, kochana Maryo. Całem sercem Twoja  
Sonia.

Podróż moja do Szwecyi skuteczniej się podówczas nie dała i, ku wielkiemu żalowi, musiałam się jej wyrzec. Napisałam o tem Zofii i oto, co mi odpisała:

Kochana Maryo!

Więc cóż teraz, coś uczyniła, co myślisz sobie właściwie? Gdy człowiek czegoś pragnie, nadzieja nie opuszcza go nawet, gdy niema żadnego prawdopodobieństwa, by się spełniła. Tak i ja spodziewałam się do ostatniej chwili, że do mnie przyjedziesz. Przyznaję, że Sztokholm jest daleko, bardzo daleko. Nie odczuwam tego nigdy więcej, niż wtedy, gdy tu jestem. W Paryżu wszystko wydaje się tak blizkiem. Są jednak osoby, których odległość nie odstrasza i które nas odwiedzają np. pewien 72-letni matematyk angielski, który przez cały tydzień deklamował nam wiersze... Że też nikt z Was nie ma 72 lat! Nie-stety!

O ile nie słucham deklamacyi, pracuję; pracuję nawet dużo, tak że nieraz jestem całkiem ogłupiała. Postaram się znaleźć wolną chwilę, aby opisać Ci mój pobyt u radykalnego nauczyciela ludowego, Norwega. Obawiam się jednak, że tej wolnej chwili nie znajdę, chyba aż na Boże Narodzenie, to znaczy, w czasie naszych wakacyj. Tej zimy jestem wyjątkowo zajęta, bo poświęcam mojej małej dziewczynce wszystkie wolne chwile, któremi dawniej rozporządzałam. Posyłam Ci, kochana Maryo, grupę, przedstawiającą dwie osoby rozczochrane i jedną porządnie uczesaną,

abyś poznała różnicę między temi dwoma pojęciami, różnicę, której, zdaje się, zupełnie nie pojmujesz <sup>1)</sup>).

Takbym chciała być na Twojem miejscu, kochana Maryo: móc wybierać miejsce mego pobytu według woli! Jakże rychło byłabym w Paryżu! Niestety, nie wiem, kiedy to nastąpi. Takem się postarzała, że układam plany conajwyżej na trzy miesiące z góry. A jestem pewna, że i za trzy miesiące nie będę jeszcze w Paryżu. Na Boże Narodzenie mam zamiar pojechać do Rosyi, jeżeli tylko mrozy nie rozpoczną się za wczesnie i nie przetną wszelkiej komunikacyi między Sztokholmem a Petersburgiem. Od kilku tygodni nie mam już żadnych wiadomości od siostry, taka jest do listów leniwa! A niema Wiktora, któryby ją zastąpił. Napisz wkrótce, kochana Maryo, o wszystkim, co Ci tylko na myśl przyjdzie, bo wszystko mnie zajmuje i wszystkie listy Twoje zawsze mnie zachwycają. Nie zapominaj o Zofii.

P. S. Zapomniałam, że mój teść, Kowalewski, prosił mnie, by Cię zapytać, czy nie mogłabyś go poinformować, w jaki sposób, na podstawie dyplomu gimnazjum żeńskiego rosyjskiego, można otrzymać świadectwo baccalaureatu francuskiego? Zdaje mi się zresztą, że sam do Ciebie napisał i że nie będzie Ci trudno dostarczyć mu żądanych informacyj.

Ściskam Cię.

Serdeczne ukłony dla Mendelzona. Dziękuję mu za list, odpiszę, gdy będę miała wolniejszą głowę i będę mniej zidjociała, niż dzisiaj.

Sztokholm, Villagatan 18.

Kochana!

Dzięki za miły list i za kalendarzyk. Otrzymałam go w dzień mego odjazdu z Moskwy, list zaś wręczono

---

<sup>1)</sup> Grupa przedstawia Zofię Kowalewską i jej córeczkę, pomiędzy niemi zaś małego, laplandzkiego, starannie uczesanego pieska.



mi dzisiaj. Nie umiem Ci powiedzieć, jak bardzo żałuję, że nie mogę skorzystać z zaproszenia Twego i pojechać do Paryża, by Cię ucałować. Jeden z naszych profesorów umarł (bardzo nie na rękę pod wielu względami); śmierć jego, a raczej wybór następcy wywoła rozmaite intrygi jednej z partji uniwersyteckich, (wiesz, że wszędzie są koterye): dlatego uważałam, że będzie roztropniej, jeśli natychmiast powrócę do Sztokholmu. Ale dlaczego byś nie miała przyjechać do mnie? Nie namyślaj się długo, spakuj rzeczy i zgotuj mi taką niespodziankę, jaka byłaby zupełnie w stylu szalonej, jak Ty, głowy! Doprawdy, kochana Maryo, nie wiem, dlaczego byś nie mogła spędzić tu czasu do końca tego miesiąca? Pogoda jest znośna, a jesień w ogóle dość przyjemna w Sztokholmie. Vollmar z żoną są w Szwecyi; nie widziałam ich jeszcze, bo objeżdżają krewnych, których Julia ma tysiącami po wszystkich miasteczkach Szwecyi. Ale oczekuję ich tu 23. tego miesiąca i pomyśl tylko, jakby to było przyjemnie, gdybyśmy byli wszyscy razem! Ciekawam bardzo Vollmara żonatego! Nie pisał od czasu, gdy mi zakomunikował tę wielką nowinę. Ale mi powiedziano, że jest nader szczęśliwy i ona także. V. podobno nawet rozmawiał się w rodzinie swojej żony. Bawi się z dziećmi, nauczył się już po szwedzku, oczarował podobno wszystkich i stare ciotki ubóstwiają go. Jego żona uchodziła za pannę najbardziej wykształconą w Sztokholmie (typ panny wykształconej i inteligentnej jest typem niezwykłym w Szwecyi) i między swemi towarzyszkami miała tyle adoraterek, ile jest piasku w morzu; teraz może Vollmar wyrugował wszystkie te adorki. Do widzenia droga, kochana Maryo. Oby odpowiedź Twoja była zapowiedzią przyjazdu i poleceniem, abym wszystko na przyjęcie Twoje przygotowała. Całuję Cię i mimo wszystko kocham stałe i na zawsze.

Tvoja

Sonia.

A oto list pełen wyrzutów i łajania. Z prawdziwie słowiańskiego lenistwa, milczałam przez czas dłuższy. Rezultatem mojego milczenia były następujące słowa:

11. IX. 86.

Co to ma znaczyć, przewrotna Polko, że nie piszesz? Na trzy listy nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Jak nazwać takie postępowanie? Jeśli wiem, że żyjesz, wiem to tylko dzięki mojemu szwagrowi, który jest na tyle uprzejmy, że od czasu do czasu udziela mi wiadomości o Tobie. Czy to może belladonna odjęła Ci pamięć? Jestem tak oburzona na Ciebie, że po tak marnej niewieście nie spodziewam się już nic dobrego i nawet nie śmiem zapytać, czy myśl odwiedzenia mnie w Sztokholmie świta jeszcze kiedykolwiek w Twojej przewrotnej głowie? Co do pana Henryka, nie znając go, nie potrafiłabym sobie wyobrazić, że mężczyzna może być takim obłudnym, niestałym i zapominającym do tego stopnia o swych przyjaciółach! Z pomiędzy was wszystkich jeden tylko Koko (papuga) jest coś wart. Co do mnie, postanowiłam ufać już tylko zwierzętom; kupiłam sobie psa lapońskiego, rzadkiej, podobno wyjątkowo inteligentnej rasy. Jemu odtąd zawierzę i ufam, że będzie pociechą i podporą moich starych lat.

Twoja słusznie oburzona

Sonia.

Droga, kochana Maryo!

Dzięki za miły list. Zbawiennie on na mnie podziałał. A nadewszystko dzięki za przyjaźń, w którą powinnam wierzyć, sądząc po uczuciach, jakie sama mam dla Ciebie. Ale to właśnie moje nieszczęście! Nie wyobrazisz sobie, do jakiego stopnia jestem podejrzliwa i nieufna, gdy idzie o miłość moich przyjaciół! Wymagam, by mi to ciągle powtarzali, jeśli chcą, bym wierzyła, że mnie kochają; niech tylko raz o tem zapomną, natychmiast zdaje mi się, że wcale o mnie nie dbają. W gruncie rzeczy, wierzaj mi, ni-



komu na myśl nie przyszło pokochać mnie odrazu; w stosunku do przyjaciół, nawet najserdeczniejszych, mam to wrażenie, że musiałam sobie zadać wiele trudu, by zdobyć ich przyjaźń, a co smutniejsza, musiałam zawsze odgrywać małą komedię, t. j. przedstawić się w trochę innym świetle, niż w świetle mojej rzeczywistości. Nawet Ty, kochana Maryo, czy pewną jesteś, że mogłabyś mnie była pokochać, gdybyś mnie do gruntu była poznała? Czy wiesz, jaka jest między nami różnica? Ty jesteś naturą impulsywną, idącą za pierwszym popędem; odczuwa się istotę Twoją, nie poddaje się jej analizie i kocha się Ciebie taką, jaką jesteś, wraz z wszystkimi Twojemi wadami i słabościami. Tak, kochana, ze wszystkimi wadami i dodam jeszcze, że, według mnie, masz ich nieskończenie wiele. Jestem przekonana, że popełniłaś wiele szaleństw w swoim życiu, że grzeszyłaś szczególnie brakiem konsekwencji. Gdyby mi o Tobie opowiedziano rzecz najbardziej zawadyacką, uwierzyłabym, ale kochałabym Cię jeszcze więcej za to.

Ze mną niestety rzecz ma się wręcz przeciwnie. Nie raz w życiu chciałam popełnić jakieś szaleństwo, ale nie udało mi się to nigdy! Jestem tak strasznie, tak niepoprawnie rozsądna! W chwili, gdy chciałam właśnie popełnić szaleństwo, sama miarkowałam, że w gruncie rzeczy gram komedię, że chciałam jedynie odegrać rolę szalonej i — nic więcej. Tylko w roli mieszczyki prozaicznej i rozsądnej czuję się sama sobą, no, i powiedz, kto może kochać takie stworzenie? Moi przodkowie po matce, filistrzy niemieccy, wzięli najwidoczniej górę nad kozakami i cyganami, których krew płynie w mych żyłach po ojcu<sup>1)</sup>. Kochana Maryo, czy możesz kochać choć odrobinę osobę tak mało zajmującą, jak ja?

Nie mogę Ci powiedzieć, jak bardzo cieszę się myślą, że Cię zobaczę tej jesieni w Sztokholmie. Ale być może,

---

<sup>1)</sup> Sławny astronom Schubert był dziadkiem Zofii Kowalewskiej po kądzieli.

że zobaczymy się przedtem w Paryżu. Jeżeli pojedę z końcem sierpnia do Anglii na zjazd „British Association“, pojedę z pewnością na Paryż i może odbędziemy razem podróż z Paryża do Sztokholmu.

Czy udało Ci się rzeczywiście odszukać mój kalendarzyk, ten prawdziwy, który mi posłałaś na Nowy Rok i któremu losy przeciwne nie dozwoliły dostać się w moje ręce? Jeżeli tak, to cieszę się ogromnie i oczekuję go z wielką niecierpliwością. Może z jego pomocą uda mi się rozpędzić mgły rozsądku i nieuleczalnego małomieszczaństwa, mgły, które mnie opadły i przygniatają mnie, jak nigdy. Bądź dobra i przyslij mi go jaknajprędzej.

Czule Cię całuję, kochana Maryo, serdeczne ukłony dla P. Ł. i powiedz mu, że mu wkrótce napiszę list ze wszystkimi szczegółami, o które się dopomina. Z serca  
Twoja  
Sonia.

Dwa listy następne dają obraz ostatnich dni biednej Aniuty, obraz jej długiego, strasznego cierpienia, tem okrutniejszego, że tyle zniszczyło złudzeń i nadziei. Oto co pisała Zofia:

Kochana Maryo!

Co za żar! co za żar! Zapewniam Cię, że ostatnim Twoim listem poparzyłam sobie palce, taka jest jego temperatura! Widzę stąd światło Twojej latarni, bo że to tym razem jest latarnia, nie mam już żadnej wątpliwości. Czy to brunet, czy blondyn? Nic mi o tem nie piszesz, a to przecież rzecz tak wielkiej wagi! Jakże wspaniała musi być ta latarnia i jak bardzo blaskiem swym musiała Cię olśnić, skoro potrafiłaś przejść ponad tą małą wadą, że to nie socyalista! Ten właśnie punkt jest rozstrzygający w postawieniu diagnozy co do stanu Twojego serca i postawić muszę diagnozę jaknajgorszą. Co na to powiada pan Henryk? Czy ze zdumienia, niepokoju, zazdrości (przyjaznej, ma się rozumieć) nie zamarły mu słowa na ustach i czy mu pióro



nie wypadło z ręki? A biedny Mendelson? Czy wyjechał do Szwajcaryi, aby nic nie widzieć i nic nie słyszeć? Kochana Maryo, zapewniam Cię, że jesteś poważnie chorą! Poddałam lupie i mikroskopowi cząstki listu Twego i widziałam wyraźnie bakteryje febris amorosis. W jakim stadium choroby znajdujesz się obecnie, biedna Maryo? Jesteś zanadto przenikliwą, by nie odgadnąć, że ten przymiotnik biedna jest tylko *une façon de parler*, a raczej, że to maska, pod którą chciałabym ukryć zazdrość, jaką wzbudza we mnie stan Twego serca. Gdyby wartość zakonchanych wzrastała z wiekiem, jak wartość wina, nie miałabym powodu uskarżać się, bo obecnie składają mi hołdy trzej młodzi ludzie, którzy we trójkę mają zapewne więcej, niż 200 lat. Jeden z nich (minister, proszę Cię, i bardzo bogaty w dodatku!) zamierza seryo starać się o moją rękę, jak mnie zapewniono. Muszę co do tego zawierzyć innym, on sam bowiem mówi bardzo mało i tylko gdy spogląda na mnie, zawraca oczy w sposób niebываły. Nigdybym nie była odgadła, że się do mnie zaleca.

Drugim moim admiratorem jest redaktor czasopisma najbardziej reakcyjnego w Sztokholmie, trzeci zaś jest młodym, 72-letnim uczonym angielskim, który pisuje sonety na moją cześć; w jednym z nich powiada: „*Thy star shines bright o'er Malarn lake*“ (Twoja gwiazda przyświeca jasno nad jeziorem Melarn) i porównywa mnie z Prometeuszem. Oto latarnie, które gorzeją w Sztokholmie! Kochana Maryo, czy nie zachęca Cię to do przyjazdu? Jeśli tak, obiecuję Ci dostarczyć także takiej małej, ładnej lartarki, jak moje. Co robić? — innych niema w Sztokholmie. Młodzi ludzie rodzą się tu jako narzeczeni i można pomyśleć o nich wtedy dopiero, gdy przypadkiem odumrze ich lepsza ich połowa.

Zostaję tu do Bożego Narodzenia, a potem pojadę na 2 lub 3 tygodnie do Petersburga. Stan mojej siostry jest bardzo groźny. Coprawda, Wiktor pisze mi listy uspokajające, ale wszyscy inni przyjaciele przeczą jego wiadomo-

ściom, mówiąc, że siostra ma się coraz gorzej, że Wiktor się ludzi i że lekarze nie mają nadziei uratowania jej. Nie wiem, co myśleć o tem wszystkim! Moją córeczkę zostawię tu pod opieką Anny Szarloty Edgren. Powieść jej będzie przetłomaczona na język rosyjski i wyjdzie w „Siewiernym Wiestniku“. Bardzo się cieszę, że będziesz ją mogła przeczytać. Edelfeldt (czy go sobie przypominasz?) kazał mi powiedzieć, że mi nie dowierzał, gdym mu w Paryżu powiedziała, że powieść ta jest taka piękna, ale po przeczytaniu zupełnie podziela moje zdanie.

Dość na dzisiaj, moja biedna, chora i kochana Maryo! Na miłość boską i z litości nad moim niepokojem napisz wkrótce. Przedewszystkiem dużo szczegółów o latarni.

Całem sercem oddana Ci

Zofia.

Kochana Maryo!

Bardzo, bardzo dziękuję za *porte-bonheur*, który w tej chwili otrzymałam. Trzeba nam obecnie trochę szczęścia, bo spędzamy smutne dni u łóża biednej Aniuty, której stan pogarsza się z dnia na dzień. Jakież głupie jest życie! Prawda — stara jak świat, a jednak ogarnia nas zupełnie nowe zdumienie, ilekrotnie się prawda ta potwierdza i zdaje nam się za każdym razem, że nowe uczyniliśmy odkrycie. Nigdy człowiek nie odczuwa tego silniej, niż podczas długiej agonii drogiej, a nieuleczalną chorobą dotkniętej, osoby. Nie wiem, czy widziałaś kiedy kogoś bliskiego w tym stanie? To takie straszne: być nietylko świadkiem cierpień osoby ukochanej, nie mogąc jej przynieść żadnej ulgi, ale codziennie stwierdzać zaszłe zmiany i spustoszenia, wywołane chorobą, tak pod względem fizycznym jak moralnym. Moja siostra cierpi nad wszelki wyraz. Całemi dniami i nocami nieraz jęczy i wtedy nic jej nie zajmuje prócz jej cierpienia. To jest prawie stały jej stan obecnie! — Wtedy zaczynam pragnąć i ja rozwiązania jakiegokolwiek, byleby przyszło prędko... Poczem nagle następuje małe po-



lepszenie, siostra ma kilka godzin względnego spokoju, przemawia do nas dobrotliwie i wtedy uderza we mnie wspomnienie, czem była dawniej i czuję cały ogrom straty, która nam grozi, i buntuję się przeciwko możliwej śmierci, która właśnie w tej chwili byłaby tak nielogiczną i okrutną! Prawie wszystkie główne narządy są dotknięte; rozsądek mi powiada, że trzebaby cudu, aby wyzdrowiała, a jeśli umrze — pomyśl, jakie to będzie nielogiczne i straszne! Na co żyła i tyle cierpiała? Można znać i podziwiać wszystkie nowe teorie; można mieć uwielbienie dla samego siebie w chwilach naukowego uniesienia; można korzyć się przed wszechmocnym determinizmem, pochłaniającym naszą indywidualną wolę i sprowadzającym ją do znaczenia mirażu — a jednak przesady, wpojone w nas od dzieciństwa, są mimo naszej wiedzy tak potężne, że wierzymy niezachwianie w znaczenie nasze indywidualne i niepodobna, abyśmy się nie buntowali przeciw każdej, osobiście dotykającej nas niesprawiedliwości i aby nie wyrwał się nam z piersi okrzyk: „To być nie może!“ Altruizm nasz jest zawsze jeszcze tylko altruizmem mieszkańca wyspy Tahiti: moje cierpienie, a cierpienie cudze to dwie rzeczy całkiem różne. No, ale żegnaj, kochana Maryo! przepraszam Cię za smutny list. Wiktor zapewnia mnie, że tym razem latarnia jest tylko pęcherzem. Czy to aby prawda? Na ślicznym moim kalendarzyku widzę jakby „niebieskiego ptaka...“ Byłoby to przywidzenie? Biedna ptaszyna! Już oto sposobi się dla niej śniadanie... Jak na niebieskiego ptaka jest bardzo żarłoczna. Do widzenia, droga kochana Maryo! Jak tam z egzaminami pana Henryka? Prosiłam Wiktora, by Ci opowiedział, w moim imieniu, dwie anegdotki o Lassalle'u. Jak Ci się podo bały?

Całem sercem Twoja

Zofia.

Kochana Maryo!

Tylko kilka słów dzisiaj, aby Ci podziękować za „Cz to djełat’?“ i za list. List trochę mnie zdziwił i za-

smucił, — myślałam, że znasz mnie lepiej. Szczerze powiedziałem, nie znam osoby wierniejszej w uczuciach ode mnie.

Nie jest to przecież moją winą, jeżeli los zmusza mnie do ustawicznej zmiany miejsca pobytu i otoczenia.

Przyznaję też, że zwykle pochłania mnie jedno jakieś chwilowe zajęcie: matematyka, literatura, lub też sprawa osobista — a wtedy mogę myśleć tylko o tem upodobaniu chwilowem. Takie mam usposobienie, usposobienie wszystkich ludzi rozumowo-namiętnych. Odwrotną stroną medalu jest to, że w tych epokach zaniedbuję może pozornie — nie zdając sobie wcale z tego sprawy — przyjaciół, nie mogących podzielić mego zaciętrzewienia się. Ale, zdaje mi się, że przyjaźń powinna być pobłażliwa i przebaczać drobne wykroczenia przeciwko formie.

Chętniebym obszerniej napisała, ale niestety nie mam czasu, a nie chcę odłożyć listu na inny dzień.

Szczerze oddana Ci

Zofia.

Wyrazy przyjazne dla pana Stanisława. A. Sz. Leffler jest zamężna od czerwca, ale nie skończył się jeszcze dla niej miesiąc miodowy. Szczęście, szal, ekstaza! Obecnie jest w Sztokholmie z mężem, człowiekiem bardzo sympatycznym.

56, Sturegatan.

1. X. 90.

Droga, kochana Maryo!

Dziękuję za dobry list; odpowiadam natychmiast, co świadczy o tem, jak bardzo mnie ucieszył. Dzięki też za tak miłą propozycję, że chcesz być chrzestną matką mego dziecka; przyjmuję ją z radością. Że pierworodne moje ma już chrzestną matkę, będziesz chrzestną mego drugiego dziecka, które wkrótce przyjść ma na świat, któremu poświęcam wszystkie me myśli i które zagarnia wszystką mą czułość matczyną.

A teraz przystępuję do wyjaśnień: Moje „Wspomnie-



nia“ (które tak miłe chwaliśz) i kilka nowych rozdziałów, których w języku rosyjskim dla różnych powodów, w części z powodu cenzury, nie wydałam, przetłumaczyła już na język francuski jedna z tutejszych pańien. Ambasador francuski w Sztokholmie, pan Millet, doskonały stylistą, przejrzał to tłumaczenie. Może czytałaś jego artykuły: „Od Dunaju po Adryatyk“ — w „Revue des deux Mondes“ — istnie to arcydzieła pod względem języka. Otóż pan Millet, siostrzeniec pana Gastona Paris, ma rozległe stosunki w świecie literackim i obiecał mi zająć się wydaniem mojej książki. Narazie jest właśnie we Francji; otrzymałam list od niego, w którym mi donosi, że ma nadzieję, iż „Nouvelle Revue“ przyjmie moje „Wspomnienia“. Ale po „Wspomnieniach“ napisałam dwie inne rzeczy. „Nihilistkę“ o której wspomniałam Ci w swoim czasie — raz nawet przetłumaczyłam Ci ją ex abrupto, czytając Ci ją, bo początkowo napisałam ją po szwedzku. Teraz przepisałam ją w języku rosyjskim i zmieniałam pod wielu względami. Opowiadanie to również jest już przetłumaczone na język francuski. Tłumaczenia dokonała osoba, pozostawiająca dużo do życzenia, jako tłumaczka, ale mająca także znamienite stosunki literackie w Paryżu, tak, że, dzięki niej, albo znajdu prawie napewno wydawcę, albo też opowiadanie moje będzie wydrukowane w „Revue des deux Mondes“. Narazie kończę inną nowelkę, która, spodziewam się, zainteresuje Cię. Nicią przewodnią jest historia Czernyszewskiego; zmieniałam jednak nazwiska, dla większej swobody co do szczegółów, a także i dlatego, że chciałam ją tak napisać, aby nawet filistrzy czytali ją z zajęciem i z biciem serca.

Skończę ją za kilka tygodni i w razie, gdybyś chciała przetłumaczyć ją na francuski, pošlę Ci rękopis. Jeżeli mi się uda umieścić moje dwa dzieła pierworodne, myślę, że umieszczenie trzeciego nie napotka trudności. Z wszystkimi innymi tłumaczami tak się ułożyłam, że dzielimy się porównie honorarium — jeżeli je otrzymam. Czy zgodzisz się na te warunki, kochana Maryo?

Jaclard posiada obecnie także jedną moją nowelę. Popełniłam to głupstwo, że ją wprost po francusku napisałam. Przyznaję, że to wielkie głupstwo; pominałszy styl, to i myśl nie może mieć polotu, jeżeli nie jest wyrażona w języku rodzimym. Obiecał ją przejrzeć i umieścić — ale niebardzo się spieszy.

Ale dość gadania o mojej literaturze — przechodzę do innych rzeczy. List Twój, taki miły zresztą, ma tę wielką wadę, że nic mi o sobie nie powiadasz. A jednak doznałeś przecież wielkich wzruszeń! Jak często myślałam o Tobie podczas procesu! Z przyjemnością wyczytałam w różnych dziennikach, że „pani Mendelsonowa jest bardzo piękną osobą, olśniewającą i inteligentną, a ubraną z taką elegancją, że nie dziwionoby się, gdyby modzie paryskiej nadawała ton“. Jak często chciałam do Ciebie pisać! Głównym powodem mego milczenia było, że zupełnie zapomniałam, jaki jest twój adres. Oto dlaczego posłałam Ci moje „Wspomnienia“ przez Ławrowa. Z Jaclard'em stosunki moje są bardzo powierzchowne. Pisuję mu od czasu do czasu kilka słów, by mieć wiadomości o Jurku: czasem raczy odpisać, a czasem i nie. O Tobie nigdy oczywiście nie wspominał w mych listach, z obawy, aby się nie sparzyć. Nowina, którą mi o nim donosisz, zdziwiła mnie, a zarazem ucieszyła dla niego. Któż jest tą szczęśliwą osobą, posiadającą tyle bystrości, by ocenić urok Wiktora? Z jakiego jest świata? Mojem jedynym życzeniem jest tylko, by nie była bardzo niedobłą dla Jurka. Jaclard doniósł mi właśnie, że zamierza Jurka wysłać z Paryża i umieścić go w szkole agronomicznej. Zamiar sam przez się dobry, — żałuję tylko, że Jurek mi nigdy nic nie pisze. A ten biedny pan Henryk! Jeden dowód więcej, potwierdzający starą prawdę, że nikt nie ujdzie swemu przeznaczeniu! Można to było dokładnie wyczytać w gwiazdach, że niepodobna, aby inaczej skończył, niż ożenkiem ze starą, brzydką wdową!

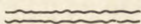
Nie mam już papieru, muszę list skończyć. Serdeczne



ukłony dla pana Stanisława i napisz rychło. Gdzie byłeś w lecie? Ja cudnie spędziłam lato, początkowo w Rosyi, a potem w Szwajcaryi i we Włoszech. W Petersburgu musiałam wypowiedzieć mowę wobec 5000 osób, w odpowiedzi na oracyę, jaką wygłosił na moją cześć prezydent.

Całem sercem oddana Ci

Zofia.



Za temat do powieści „Nihilistka“ posłużyły Zofii zdarzenia, które osobiście przeżyła. Oczywiście pozmieniała wiele szczegółów i nie wspomina też w powieści o roli, którą w zdarzeniach owych odegrała ona sama oraz kilka innych osób...

W rzeczywistości, według tego, co ustnie mi mówiła, zdarzenia miały się, jak następuje:

Na krótki czas przed sławnym procesem nihilistycznym, t. zw. procesem 193, który odbyć się miał w Petersburgu i budził wielkie zajęcie, rozmawiała ze mną Zofia o przewidywanym wyniku sprawy. Oczekiwało się powszechnie szeregu wyroków śmierci i licznych wyroków dożywotnich ciężkich robót. Młodszy gorączkowo poszukiwali środków, za pomocą których ulżyćby można było dołi męczenników za wolność, dołi, o jakiej teraz rozstrzygać miał rząd. Roztrząsania były, rozumie się, daremne, gdyż uwięzionych pilnie strzeżono i o ucieczce mowy być nie mogło. I oto co wymyśliła grupa młodych entuzystek. Skazańców żonatych wysyłano zazwyczaj w takie okolice Syberyi, gdzie klimat jest mniej surowy, pozwalano im także zabierać na wygnanie żony. Dziewczęta orzekły tedy, że tylko obrawszy bezżennych za mężów swoich i towarzysząc im na Syberyę, mogą ulżyć ich dołi. Poświęcić się! To oto było hasło całego tego romantycznego planu! Nie znały więźniów, którym chciały ofiarować życie; o wybrze mowy być nie mogło, wobec zakazu widzenia uwięzionych —: rozstrzygnąć miał los. W liczbie dziewcząt tych

znajdowała się przyjaciółka Zofii, ładna, bogata, ubóstwiana przez rodziców dziewczyna. Los wyznaczył jej jednego z braci N. Ślub zawarty został w twierdzy Petropawłowskiej, w kościele pod temże wezwaniem. Małżonkowie zobaczyli się u ołtarza, aby rozstać się natychmiast po ceremonii. W jakiś czas po procesie okazało się to właśnie, czego się wielu obawiało. Wyroki były dość łagodne, dużą ilość oskarżonych uwolniono. Wśród nich — obu braci N... Jakaż ironia losu!...

Będąc w Paryżu, Zofia zapragnęła odwiedzić dawną swoją przyjaciółkę. Wystarała się o jej adres i udała się do jej mieszkania. Kobieta jakaś otworzyła jej drzwi. „Z trudem — opowiadała Zofia — poznałam w niej ową ładną, młodą dziewczynę z przed paru lat. Rysy, wyżłobione zgryzotą, zaczerwienione oczy, kredowa bladeść twarzy, zmieniały ją do niepoznania. Szlochając, odsłoniła mi smutną prawdę swego życia: bohater jej snów stał się pospolitym tyranem domowym, niskim egoistą, nie dbającym ani o żonę, ani o dziecko i trwoniącym do ostatniego grosza pieniądze, jakie przysyłał córce rodzice. Podczas gdy zabawiał się w teatrach i klubach, ona cierpiała nędzę i często na chleb dla dzieci nie miała pieniędzy.

Odtąd Zofia często odwiedzała dawną przyjaciółkę i miała sposobność przekonać się, że prawda w rzeczywistości przedstawiała się jeszcze smutniej, niż w opowiadaniu młodej kobiety. Próbowala rozmową rozruszać sumienie pana N., — lecz daremnie! Pan ten miał się za zapoznanego geniusza i uważał, że jedynym jego obowiązkiem jest poszukiwanie w cygańskim życiu podnieć, któreby przyczyniły się do rozwinięcia jego wielkich talentów literackich.

Widząc, że stosunki te ułożyć się nie dadzą, Zofia poradziła przyjaciółce, aby powróciła z dziećmi do Rosyi. Pani N. nieraz sama o tem myślała, nie miała jednak ani paszportu, ani pieniędzy. Zofia dała jej własny paszport, dostarczyła potrzebnych środków. Przed wyjazdem młoda



kobieta usilnie prosiła Zofię, aby pod żadnym warunkiem i nigdy nie dała jej adresu panu N., ponieważ, według ustaw rosyjskich, miałby prawo przy pomocy policji sprowadzić ją napowrót do siebie.

„W kilka tygodni po wyjeździe mojej przyjaciółki, — opowiadała mi Zofia, — siedzę sobie pewnego wieczoru spokojnie przy robocie, gdy nagle zjawiają się u mnie obaj bracia N. Jeden z nich ma w ręce paczkę, której jednak w pierwszej chwili nie spostrzegam. Poczyna mąż mojej przyjaciółki wynurzać przedemną ból z powodu nieobecności żony i wyjawia chęć zobaczenia zarówno jej, jak i dzieci. Mówi głosem łagodnym. Prosi mnie o adres. Gdy stanowczo odmawiam, z miejsca zmienia ton. Obaj bracia obrzucają mnie gradem obelg i zuchwale oświadczają, że jeśli nie wyjawię im adresu, obleją mnie wityrolem, który oto mają przy sobie. W pierwszej chwili trochę się przeraziłam — znałam ich jednak obu jako tchórzy. Mieszkałam w Hôtel garni — zadzwoniłam. To wystarczyło, aby ich spłoszyć“.

Ci, co czytali „Nihiлистkę“, nie przypuszczali z pewnością, że smutny ten dramat osnuty jest na tak prawdziwym zdarzeniu. Zapytałam Zofii, dlaczego nie opowiedziała poprostu rzeczy tak, jak miały się w istocie? — „Widzisz — odrzekła mi — gdyby przy dziwnych naszych typach, przy osobliwych stosunkach rosyjskich opowiedzieć rzeczy i zdarzenia tak, jak miały się w istocie, napisałoby się zwykłą, realistyczną opowieść. Na zachodzie nasza prawda jest nieprawdopodobną i uczyniłaby na czytelnikach wrażenie chorobliwego wymysłu“.

Co dotyczy powieści o Czernyszewskim, o której Zofia Kowalewska wspomina w poprzednim liście, to przedmiot ten nie przedstawiał dla niej trudności, gdyż rodzinę znakomitego męża znała osobiście. Opowiadała mi nawet, że nakłaniała syna Czernyszewskiego, aby poświęcił się specjalnym studjom nad matematyką.

Powyższy list jest przedostatnim listem, jaki otrzymałam od Zofii. W cztery miesiące później dowiedziałam

się nagle o jej śmierci. Zmarła 10 lutego 1891 r. na zapalenie opłucnej. Chorowała krótko.

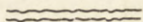
W wilię śmierci czuła się lepiej i zasnęła spokojnie. Czuwające nad nią przyjaciółki sądziły, że mogą ją zostawić pod opieką pielęgniarki. Wśród nocy zbudziła się nagle i zapragnęła zobaczyć córeczkę swoją... Czuła bliskość końca, a, przy uczuciowej jej i spragnionej tkliwości naturze, ciężko jej było świadomie umierać, nie uściskawszy blizkiej dłoni.

Dla śmierci Zofia Kowalewska miała głęboki wstręt; była w jej oczach śmierć brzydka i niedorzeczna. Często temat ten poruszałyśmy w długich naszych rozmowach, mówiłyśmy nieraz także o samobójstwie. W teorii Zofia godziła się na samobójstwo, sądziła nawet, że w potrzebie uciekłaby się doń sama, wtedy jednak obmyśliłaby je tak, aby nie było odwrotu. Mówiła mi, że odkryła w Norwegii rodzaj przymorskiej, opłynionej przez fale skały, (miejsowości nie przypominam już sobie), z której, gdy rzucić się, ratunku już niema. „Gdybym postanowiła kiedy odebrać sobie życie — mówiła mi — tambym poszła, gdyż śmierć, jako taka, nie pociąga mnie i wiem, że, postanawiając nawet umrzeć, i tak skorzystałabym z pierwszej sposobności, aby śmierci ująć. To zaś nie miałoby sensu, skoro postanowiłam... Ale nie! — dodała po chwili krótkiego wahania — zanadto kocham życie, aby kiedykolwiek móc tak postanowić“.

O, jakąż miała słuszność, mówiąc, że kocha życie! Dowodem tej miłości był cały jej charakter. Intensywne zainteresowanie, jakie miała dla najrozmaitszych rzeczy, dla nauki, poezji, literatury, dla kwestyi politycznych i społecznych; entuzjazm, z jakim zagłębiała się zarówno w teoretyczną wiedzę, jak i w studia otaczających ją dusz —: czyż to nie dostateczny dowód, że życie miało dla niej urok najwyższy? Posiadała nadto wielki idealizm, dzięki któremu mogła widzieć rzeczy z najlepszej strony i zachować niezłamaną siłę woli w najcięższej nawet walce życia.



Natura tak bogata i tak różnorodna mogła być niezrozumiałą nawet dla tych, którzy mniemali, że znają ją bliżej. Umysł analityczny i pełny entuzjazmu zarazem, temperament w połączeniu z ironią zbijały, zdaje się, z tropu tych, którzy usiłowali odtworzyć prawdziwy portret Zofii Kowalewskiej. Ta okoliczność skłoniła mnie do opublikowania listów, dających możliwość poznania, jaką naprawdę była Zofia Kowalewska.







# CZEŚĆ DRUGA

Wspomnienia. 7.





## CYTRYNA.

---

Tak, w samej rzeczy, każdy z nas, najzacieklejszy nawet materyalista, ulega tej ciekawości zaświata! — zauważyła Sonia Kowalewska, kiedy gawędząc, siedziałyśmy pewnego wieczoru w moim saloniku. „Zawsze nurtuje nas ta nieodparta chęć przekroczenia granicy, która kryje przed nami przyszłość naszą po śmierci i przeszłość przed urodzeniem. I daremnie silimy się odczytać, co do odczytania jest niemożliwe!“ — dodała z westchnieniem.

— Istotnie — zauważyłam — podobni jesteście do tego ptaka, co to, jak opowiada stara kronika, podczas nocy burzliwej, światło w oknie ujrzawszy, spiesznie ku niemu zleciał i padł zemdlony. Światło go oślniło. Powoli jednak pod wpływem miłego ciepła domowego przychodzi do siebie, rozgląda się, nabiera odwagi, rozpościera skrzydełka, buja po pokoju, dobywa z siebie piosenkę wiosenną i oto już wierzy, że przyszedł czas wiosny wieczystej... Rzuca się więc w otwarte okno i znika, oddechem wiatru niesiony... Skąd przybył? Cóż o tem wiemy!... Co się z nim stało? Któż powiedzieć potrafi!... Podobnie człowiek. Zjawia się nie wiedzieć skąd, zagarnia ziemię, grzeje się w promieniach słońca, korzysta z jego dobrodziejstw i już

gotów jest wierzyć, że do niego należy świat, gdy nagle podmuch wiatru zmiata i unosi go w wietrzycie nieznane...

— „Jednak — odrzekła Sonia — w naszej jest przynajmniej mocy, jak wspominałam przed chwilą, zbliżyć się do nieprzekraczalnej granicy, zbliżyć się, usiłując zebrać pierwsze nasze wspomnienia, usiłując pochwycić dokładny moment rozbudzenia się naszej samowiedzy. Jasnym jest, że nie odrazu posiadliśmy całą świadomość. Były chwile półzmroku, były przerwy w ciągłości. Błyskawica — poczem wszystko znowu zapada w ciemność; jeszcze błyskawica, dłuższa już — i czyni się światło, mgliste zrazu, ale już ciągle. Czy nie sądziś, że byłoby zajmującym odszukać i przypomnieć sobie ową pierwszą błyskawicę w życiu każdej z nas? Gdybyśmy też spróbowały przypomnieć sobie nasze pierwsze wrażenia?”

— Chętnie — odpowiedziałam — ale że to Twój pomysł, rozpoczynaj!

Zofia zamilkła na chwilę, zamknęła oczy, by lepiej zebrać myśli, poczem opowiedziała pierwsze swoje wrażenia z dzieciństwa, wrażenia, których tu nie powtarzam, ponieważ wydała je sama pod tytułem „Siostry Rajewskie“. Drukowane początkowo w języku szwedzkim, były tłumaczone następnie na język francuski, angielski, niemiecki i t. d.

— „Teraz na ciebie kolej“ — rzekła, skończywszy.

Z prawdziwym zachwytem przysłuchiwałam się tej jej opowieści o najwcześniejszym jej dzieciństwie. Pełno w niej było subtelnych spostrzeżeń, uwag głębokich i szczerych uczuć. Byłam pewna, że nie potrafię jej dorównać.

— Wspomnienia moje są bardziej od Twoich mgliste — odpowiedziałam — więcej rwane, i ciekawe być mogą tem chyba jedynie, że sięgają wcześniejszego jeszcze niż Twoje dzieciństwa. Mówiłaś o wrażeniach swoich z czasu, kiedy miałeś pięć lat, wrażenia moje odnoszą się do czasu, kiedy miałam dwa i pół roku i samej trudno mi prawie w to



uwierzyć. Roku pamiętnego zaćmienia słońca miałam w istocie równo lat dwa i pół. To też wrażenia moje są niepowiązane, strasznie dziecinne i opowiem je chyba tylko, ot tak, ponieważ się o tem właśnie zgadało. Osądź sama.

— Pewnego ranka budzę się. Uderza mnie w oczy wielka jasność, razi mnie ona. Znowu więc zamykam powieki. Zbiera mi się na płacz. W tej epoce mego życia płakałam podobno z byle jakiego powodu — mówiono mi później o tem. Po chwili jednak otwieram oczy pomału, ostrożnie. Promień słońca padł na moje łóżeczko i w promieniu tym spostrzegam matkę moją i starą niańkę, której oddawna nie widziałam. Od jak dawna? Nie wiem — nie wiem, co to jest czas. Czuję jakby jakieś łaskotki w okolicy serca, śmieję się. Wyciągam ręce, matka podnosi mnie i bierze w ramiona.

Uczucie nieprzyjemne: gąbką, umaczaną w zimnej wodzie, myją mi naprzód twarz, potem szyję i całe ciało. Tak mi zimno — zęby dzwonią... Znow mam ochotę płakać. Lecz szmer własnych moich zębów zwraca moją uwagę po raz pierwszy. Wycierają mnie ręcznikami — to boli — ręcznik taki jest szorstki, ale to już koniec chyba! Nie — kolej przyszła na włosy!

— Aj, aj! wyrywasz mi włosy, Ty niedobra! — wołam do pokojówki naszej, Matriony.

— Już dobrze! — mówi matka moja, zwracając się do Matriony. — A teraz przynieś żółtą sukienkę, ubiorę ją sama. Możesz odejść.

Zdaje mi się, że podówczas stara moja niańka nie służyła już u nas i że przyszła nas tylko odwiedzić owego dnia. Jakże kochałam tę drogą staruszkę! Przypominam sobie dziś jeszcze, z jaką rozkoszą całowałam jej obwisłą i pomarszczoną twarz!

— Poznajesz tę żółtą sukienkę? — pyta matka moja niańki? — To moja zeszłoroczna, muslinowa suknia. Tylko, że ile razy, kładąc ją, przejrzałam się w lustrze, czyniłam sama na sobie wrażenie cytryny. Dlatego przestałam ją

nosić; kazałam zrobić z niej kilka sukieneczek dla ma-  
leńkiej. —

Mówiąc, ubierała mnie. Cała moja uwaga była sku-  
piona na sukience. Nosłam ją już wiele razy, nie zdając  
sobie z tego sprawy. Nagle przyszło mi na myśl, że su-  
kienka ta zmienia mnie w małą cytrynę. Wzięłam dosło-  
wnie wyrażenie matki i tak do siebie mówiałam: „Gdy mama  
nosiła tę suknię, była wielką cytryną; teraz z kolei ja je-  
stem cytryną małą. Wiedziałam dobrze, co to jest cytryna;  
często widywałam cytryny, bo zawsze, ilekroć matka przy-  
rządzała limoniadę dla ojca. Myśl, że jestem małą, toczą-  
cą się cytryną, wydała mi się bardzo zabawną i śmiejąc się  
radośnie, z rozkoszą wepchałam paluszek do ucha... Matka  
natychmiast ukarała mnie klapssem, a chcąc zapewne zapo-  
bić nowym łzom, wyniosła mnie na terasę przed dom i po-  
stawiła na ziemi.

— No, pobiegaj sobie trochę dziecko, rozgrze-  
jesz się! —

„Pobiegaj sobie trochę“ powiedziała matka. Zaczę-  
łam biegać z rozpostartymi dla utrzymania równowagi ra-  
mionami. Nie byłoby mi przyszło na myśl zatrzymać się,  
by zerwać kwiatek, usiąść, by pobawić się w piasku, wo-  
góle zająć się czemkolwiek bądź innym, niż bieganiem,  
skoro moja mama się powiedziała mi: „Pobiegaj sobie  
trochę!“

Biegałam więc z rozpędem zupełnie małych dzieci, które,  
skoro raz puściły się w ruch, nie mogą się już zatrzymać,  
tak mało panują jeszcze nad swoimi członkami; biegałam,  
mając uczucie, że jestem małą cytryną, która się toczy.

Bieg ten bawił mnie bardzo; powietrze było takie cie-  
płe, tak miło było oddychać niem. Wokoło mnie tańczył  
złoty jakiś pył —: dotąd nie widziałam go jeszcze nigdy.  
Nigdy także nie oddychałam jeszcze powietrzem tak pa-  
chnącym: — to kwiaty pachniały, lecz nie zdawałam sobie  
sprawy, skąd woń mnie ta dochodzi; czułam tylko, że  
wokoło coś pachnie przyjemniej jeszcze od twarzy starej



mojej piastunki. Coś brzęczało w przesłonecznionem powietrzu —: to owady brzęczały; coś bez przerwy śpiewało w liściu drzew —: śpiewały ptaki. Były to rzeczy, o których nic nie wiedziałam — ale byłam taka szczęśliwa! Mała cytryna śmiała i toczyła się wciąż przed siebie. Lecz nagle złoty pyłek pociemniał, przycichł śpiew ptaków wśród drzew, zesłabło około kwiatów muszek brzęczenie. Zwolna wszystko zamilkło... Przez powietrze szedł jakby dreszcz i poczęły drżeć liście drzew... Mała cytryna toczyła się ciągle jeszcze przed siebie, lecz począł ją ogarniać nieokreślony jakiś strach... I nagle otoczyła ją ciemna noc...

Rozległ się w powietrzu głos matki i jeszcze raz powtórzyło się wołanie bardziej zatrwożone i bardziej już odległe, biegłam bowiem wciąż i oddalałam się coraz więcej...

I nagle zdjęła mnie trwoga i już powstrzymać się nie mogąc, zaczęłam szlochać. Szlochałam i biegłam dalej. Zdawało mi się, że lecę w przepaść bardzo czarną i bardzo głęboką.

Wtem, w ciemności, objęło mnie dwoje rąk. Coś mnie uniosło z ziemi... To matka tuliła mnie do siebie, mówiąc: „Takeś mnie przestraszyła, moje kochanie, tak mnie przestraszyłaś!“ Jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej powróciło światło, rozbrzmiał znów brzęk muszek około kwiatów i śpiew ptasząt pośród drzew. Śpiew rozlegał się z początku jakby pod tłumikiem, lecz gdy znów zajaśniało słońce, rozdzwięczył się radosnym chórem.

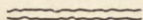
Jednakże wstrząśnienie, jakiego doznałam, nie ustępowało jeszcze i gdy niosła mnie matka do domu, płakać nie przestawałam.

— Fe, jesteś brzydką dziewczynką! To brzydko tak płakać! — mówiła matka, stając ze mną przed jednym ze zwierciadeł w salonie. — Spójrz tylko! — dodała. Podniosłam oczy. W lustrze stała druga mamusia, taka samotka jak moja, i trzymała na ręce małą dziewczynkę, której nie znałam. Dziewczynka miała oczy czerwone, twarz mokrą od łez; miała na sobie także żółtą sukienkę, tylko

włosy jej były jasne i kręcone, a rączki — nagie, i na nagich rączkach miała dołeczki. Nie była wcale podobna do cytryny — zaczem nie byłam to ja. Czegóż więc właściwie chciała tutaj? Może chciała mi zabrać mamusię?

— O, za nic, za nic nie oddam jej mojej mamusi!

I tuliłam się do mojej własnej mamusi, otaczając rączkami jej szyję... Tu zacierają się moje wspomnienia i nic już do nich dodać nie mogę.





## WZRUSZENIA WIOSENNE.

---

**M**iałam ośm lat. Zdawało mi się, że jestem dużą dziewczynką. Lekcje dobrze mi poszły owego dnia.

Mówię „dobrze mi poszły“, gdyż stosunek mój do lekcji był trochę zabobonny i niektórym książkom przypisywałam złośliwe wobec siebie intencje. Były dni, kiedy nic nie chwyciło się głowy, kiedy nie umiałam skupić uwagi na pewnych przedmiotach np. na przeklętej gramatyce francuskiej i angielskiej, jeszcze nieznośniejszej. Co za straszna książka! „I am good“ „Thou art naughty“ i tak dalej w kółko. Wyczyć się dwudziestu wierszy na pamięć! Dwadzieścia wierszy bez sensu i związku! Dlaczego mówić „I am good“ zamiast „Je suis sage?“ Jacyż złośliwi ludzie wymyślili takie dziwaczne słowa i wymyślili je naumyślnie, by z ich racyi spadały potem kary na małe dziewczynki!

Owego dnia nie było lekcji angielskiego, i chwala Bogu! Przypadała na ten dzień historia rzymska, założenie Rzymu, Romulus i Remus karmieni przez wilczycę. W książce znajdował się obrazek na tem miejscu: gęsty las, a pod wielkiem drzewem dwoje nagich dzieci, dwoje dzieci wystraszonych, załamujących rączkęta na widok

ogromnej wilczycy, która szła ku nim z gęstwiny. Tak się bardzo bały biedne małeństwa, że zapomniały o głodzie, który przed chwilą jeszcze targał ich wnątrności. Wilczyca zbliżyła się ku nim, i zamiast pożreć je, podaje im nabrzmiałe od mleka wymiona. Miałam polecenie, abym kilka razy odczytała ten ustęp, i to uważnie, i abym go później opowiedziała na lekcyi. Głośno i wyraźnie, nie opuścić żadnego szczegółu; dowieść jednym słowem, że się rozumie, co się czytało! Nauczycielka moja powtarzała te napomnienia regularnie z początkiem każdej lekcyi historyi i powtarzanie tych słów nie sprzykrzyło jej się nigdy. Owego dnia wszystko poszło dobrze; wypowiedziałam opowiadanie głośno i wyraźnie. Była jednak chwila, która o mało co wszystkiego nie zepsuła. W momencie bowiem, kiedy wilczyca wychodzi nagle z gąszczu, trwoga ścisnęła mi serce, łzy poczęły się cisnąć do oczu. Miałam strasznie wielką ochotę rozplakać się, ale wysiłkiem woli opanowałam wzruszenie i, starając się myśleć o czem innem, dokończyłam opowiadania głosem suchym i pewnym. Nauczycielka wynagrodziła mnie słowami: „bardzo dobrze“ wypowiedzianymi głosem zimnym i znudzonym. Zdaje się, że panna Eufrozyna nie obrała kariery pedagogicznej z zamiłowania, bo zanudzała się na śmierć podczas naszych lekcyj, szczególnie zaś w rzadkich chwilach, kiedy byłam dobrze przygotowana. Gdy natomiast nie umiałam lekcyj, co niestety przytrafiało się aż nadto często, panna Eufrozyna budziła się z apatyj i z widocznym zadowoleniem wypowiadała nieskończenie długie kazania. Owego dnia jednak nie było żadnego „ale“. Umiałam wszystkie lekcye, wszystkie, nawet gramatykę francuską, recytowałam za imki dzierzawcze bez omyłki i byłam uszczęśliwiona tem niespodzianem powodzeniem.

W nagrodę matka moja orzekła, że nie będziemy miały lekcyi religii po śniadaniu —: matka sama uczyła mnie katechizmu. — Po śniadaniu zadzwoniła na służącego i kazała zaprządz.



Zapomniałam powiedzieć, że działo się to na Ukrainie, że więc karetę według tamtejszego zwyczaju zaprzęgano w cztery konie, à la Daumont. Kozaczek siedział jednak na jednym z przednich koni. Gdy kładłam kapelusz i rękawiczki, ręce drżały mi z radości. Wsiadłam do powozu po nauczycielce, ale, zajmąwszy miejsce, zapadłam w milczenie; zanadto bałam się jej, by szczebiotać. Matka nigdy z nami nie wyjeżdżała, byłam więc zdana odpowiedzialności i rozkazom panny Eufrozyny. Wsunęłam się w mój kąt i w zachwycie rozglądałam się dokoła, choć tłumiona nadmiernie radość ścisnęła mnie za gardło. Niebo było niebieskie, bez jednej chmurki. „Gdyby dobrze się wpatrzeć, zobaczyłby można samego Pana Boga!“ powiedziała owego dnia, rano, stara moja piastunka. Przychodziła ona od czasu do czasu pomagać praczkom, i gdy tylko miałam chwilę wolną, biegłam, by ją ukradkiem uściskać i przysłuchać się rozmowom praczek, które gawędziły i śmiały się, pierząc i prasując. Jak tam było wesoło, w porównaniu z ponurem milczeniem mojego pokoju! Dziś jednak pokój ten i nauka w nim były daleko; jesteśmy na powietrzu i uśmiecha się do nas niebo! Podniosłam głowę, by lepiej widzieć szafirową głębię. Nic tam w górze, prócz skowronka, który z wysoka wydaje się, jak punkcik czarny. Słychać było jego śpiew, mimo turkotu wozu.

Zajechałyśmy na przyleśną polankę. Służący pomaga nam wysiąść i wyjmuję dywan z głębi karety. Nauczycielka trzyma mnie za rękę, rozgląda się wokoło, i każe nareszcie rozłożyć dywan w cieniu starego dęba. Poczem służącego z karetą odsyła do domu, polecając, by przyjechał po nas o piątej. Była godzina druga popołudniu — miałyśmy więc przed sobą trzy godziny, trzy godziny radości. Po krótkiej przechadzce, podczas której trzymana jestem wciąż za rękę, p. Eufrozyna, która jest Paryżanką, czuje się zmęczoną i wraca ku dębowi, na dywan. Miewała ona napady zapału pedagogicznego, które na szczęście nie trwały długo, w przeciwnym bowiem razie, kto wie, do jakiego

stopnia byłabym ogłupiała. Bo i jakże? Nie śmiałam wy-  
rzec przy niej słowa, szłam za nią krok w krok, bałam  
się niemal oddychać, taki czułam strach przed kazaniem  
na temat moich grzechów, grzechów, które napewno za-  
prowadzą mnie do piekła... I pojawiała się na dywanie  
przekłeta metoda angielska Sadlera... Długie litanie słówek,  
których nie chciałam zapamiętać „zatwardziałą będąc  
w złem“... Zdania angielskie, które „umyślnie“ przekręca-  
łam, wymawiając je w sposób niemożliwy... „To wszystko  
źle się skończy, i będziesz zawsze małą dziewczynką, głu-  
pią i niedobłą!“ mawiała p. Eufrozyna... Jeżeli panna Eu-  
frozyna miała pod ręką gramatykę angielską, kazała mi  
powtarzać najtrudniejsze ustępy, których nie umiałam — byle  
dowieść mi, że jestem nic warta. Ale dziś, zerknąwszy  
z pod oka, spostrzegłam, że przekłeta gramatyka, mój nie-  
ubłagany wróg, pozostała w domu. Była inna książka:  
przymrużyłam oczy, by móc odczytać tytuł: Piquillo Aliaga  
przez Eugeniusza Scribe’a. „Piquillo Aliaga!“ Jakież to  
nagle opanowało mnie wzruszenie, jakie to instynkta zbro-  
dnicze budzą się w duszy? Gdybym śmiała, gdybym była  
duża i silna, wyrwałabym z rąk panny Eufrozyny tę ksią-  
żkę, przycisnąłabym ją do serca i unosiłabym ją w głąb  
lasu... Leciałabym bez tchu i byłabym wkrótce tak daleko,  
że nie sposób byłoby mnie dogonić! Skryłabym się w wy-  
sokiej trawie, czytałabym i znalazłabym ów ustęp — w któ-  
rego połowie p. Eufrozyna kazała mi pójść spać...

Ojciec mój czytywał zwykle głośno wieczorem po obie-  
dzie, matka słuchała, robiąc jakąś robotę; od przyjazdu  
guwernantki francuskiej, czytano książki francuskie.  
W czasie czytania kazano mi bawić się lalką. Od nieja-  
kiego czasu jednak, skulona w kąciку, chciwie przysłuchi-  
wałam się czytaniu i nikt nie zwrócił na to uwagi. Tak było  
też, gdy ojciec czytał powieść Scribe’a. Siedząc nieruchomie  
na małym stołeczku, w ciemnym kącie, w drugim końcu  
pokoju, podparta na ręce, z lalką na kolanach, nadstawia-  
łam ucha i piłam niejako każde słowo tej powieści. Ojciec



czytał porywająco. W miejscu, gdy Piquillo zostaje sam w lesie, bezwiednie położyłam lalkę na ziemi, w chwili zaś, gdy otaczają go opryszkowie, wstałam i cichutko na palcach podeszłam do stołu. Gdy zaś przywiązują go do wysokiej gałęzi — bo, o ile pamiętam, tak się ma rzecz, — gdy opryszkowie podpalają drzewo, i zostawiają go samego — głośne westchnienie i wykrzyk: Ach! wyrrywają się z mojej jakby ściśniętej przez śrubę piersi... „Proszę iść spać i to natychmiast!“ odezwała się wtedy z oburzeniem p. Eufrozyna. „To jest książka dla dorosłych, nie zaś dla dzieci“.

Odeszłam ze spuszczoną głową, smutna, płacząc po cichu ze wzruszenia i z rozpaczony nad losem biednego Piquilla!...

Leżałam godzinami z otwartymi oczami w łóżeczku, nie mogąc usnąć, przewracając się to na jedną, to na drugą stronę i myśląc ciągle o biednym Piquillo, żywcem spalonym na drzewie! Mając ośm lat, nie wie się, że autorowie nie pozwalają umierać swoim bohaterom zaraz na początku książki... Dziś jednak tak było pięknie na dworze, słońce tak jasno wnikało w najciemniejszą gęstwinę, że już myślałam o tem, czy też Piquillowi nie udało się umknąć?...

P. Eufrozyna, zbliżywszy się do dębu, położyła się na dywanie i otworzyła książkę. Chciała czytać.

Stałam przed nią z założonemi rękami. Myśl szalona przeszła mi przez głowę: upadnę przed nią na kolana i płacząc, ze złożonemi rękami, błagać ją będę, by mi powiedziała, co się stało z biednym Piquillem?

— Nie stójże tak przedemną jak figura woskowa, przeszkadzasz mi; nie mogę czytać, baw się, zrywaj kwiatki, jak grzeczna dziewczynka, ale nie oddalaj się zanadto, bo będzie kara! —

Wzrok jej pełen groźby od jednego uderzenia rozproszył szalone moje nadzieje!

Odeszłam więc z głową spuszczoną i ze łzami w oczach. Biedny Piquillo! nigdy nie będę wiedziała, co się z tobą

stało, czyś zgorzał żywcem na tem drzewie! Niestety, nie-  
stety, nie miałam odwagi!...

Zresztą płacz i błagania nie byłyby mi się na nic zdały; p. Eufrozyna nie byłaby się nigdy zgodziła na to, by „podsycić“ czemkolwiek moją chorobliwą ciekawość. „Ta brzydka ciekawość zaprowadzi Cię jeszcze Bóg wie gdzie, moja panienko! Trzeba się jej strzedz! Przypomnij sobie tylko historję Pandory!“ Pandora — ach, tak! Czytałam jej historję w małej mitologii Lamé Fleury’ego. Jakież to było ładne opowiadanie, jak bardzo mi się podobało! Biedna Pandora! w gruncie rzeczy nie potępiałam jej wcale i po cichutku mówiłam do siebie: byłabym to samo zrobiła na jej miejscu!

Szłam tak przed siebie zamyślona, ze spuszczone mi oczami, spadziłą ścieżką, prowadzącą w głąb lasu. Nagle zaczepiłam sukienką o krzak kolczasty i zatrzymałam się, by ją odczepić. Był to krzak głogu, całkiem okryty kwieciem. Z zachwytem rozglądałam się wokoło — wszędzie kwiaty: białe, czerwone, fioletowe. Nademną — sklepienie z liścia. Nikt mnie nigdy nie uczył nazw roślin i kwiatów, ale bardzo je kochałam; były dla mnie jak siostry i towarzyski — a nie miałam nigdy ani towarzyszek, ani sióstr. Dlatego imionami dziewczynek ponazywałam wszystkie kwiaty, jednej tylko róży, zostawiając jej imię. Mówiłam zrywając różę: Różyczko, moje kochanie, chodź, baw się ze mną! Dla fiołka miałam nazwę Zofia, gdyż dowiedziałam się z Lamé Fleury’ego, że „Sofia“ znaczy „mądrość“, p. Eufrozyna zaś powiadała, że fiołek jest mądry i skromny. Konwalię nazywałam własnem swoim imieniem „Marya“, gdyż kochałam ją ponad inne kwiaty. Konwalie były to prawdziwe moje siostrzyczki. Rosły w niezliczonej ilości tu właśnie, naokoło mnie, tworząc pod drzewami wielkie kępy. Było to w maju, konwalie kwitły. Chciwie poczęłam je zrywać, zrywałam je wraz z pięknym ich liściem, który je okrywał, jakby zielony płaszcz.



— Chodźcie do mnie moje małe siostrzyczki, chodźcie Maryjki, pobawimy się i potańczymy sobie trochę! —

Tak do nich przemawiałam, wiążąc je w bukiet. Odkryłam pod drzewem kilka spóźnionych fiołków. „Chodźcie do mnie, moje Zofijki miłe!“ A głóg? Nie znałam go jeszcze. Zaczęłam mu się przyglądać. Liście jego były całkiem podobne do liści róży, tylko były mniejsze. „Chodźcie do mnie, Różyczki!“ wołałam, zrywając je ostrożnie, by nie pokaleczyć się cierniami. Zebrałam już duży bukiet i z rozkoszą wdychałam cudną woń, nurzając w kwiatkach całą twarzyczkę. Zapach tych różnych kwiatów był tak silny, że odurzył mnie, ogarnęło mnie nagłe podniecenie. W sercu czułam niespodzianą radość; czułam się wesoła i szczęśliwa! Zdala od panny Eufrozyny, zdala od wszystkich dorosłych osób! Byłam wolna! Wielkie drzewa były to zapewne także osoby dorosłe, lecz były przecież takie dobre, pozwalały bawić się kwiatkom według woli, nie gniewając się na nie, nie prawiąc im kazań!... I mnie zostawiały w spokoju, pozwalając mi bawić się z kwiatkami! Jak to dobrze być samą! Musiałam już być daleko od dębu, dywanu i panny Eufrozyny! Aby użyć tej swobody dosyta, zesłam ze ścieżki i zapuściłam się w las. Powietrze było tak przejrzyste i przesycone zapachem, liście, wyłoczone słońcem, lśniły zielonością tak promienną, kwiatki uśmiechały się do mnie tak dobrotliwie, że serce miałam pełne radości. Wydało mi się, że oto powróciłam z dalekiej podróży. Tak, napewno, podróżowałam długo z Robinzonem Kruzoe i z Guliwerem, a teraz oto wróciłam do kraju i wszyscy przyjaciele pośpieszyli, by mnie powitać. W istocie, byłam tu w świecie dobrze mi znanym. Oto piękny, zielony chrabąszcz siadł na kwiecie głógu; znam go, tyle razy widziałam go, gdy wtulał się w róże naszego ogrodu! A tu znów armia brunatnych mrówek, torujących sobie drogę poprzez wysokie trawy! Ileż razy towarzyszyłam im w ich wyprawach wojennych! W głębi naszego ogrodu był pagórek, gdzie obrały sobie

siedlisko mrówki czarnej; obserwowałam je często, rzucając im okruszyny chleba, lub ziarna trochę. Jakże wtedy ożywiało się całe mrowisko, jakże pierzchał cały ten drobny światek na wszystkie strony! Powoli okruszyny i ziarno znikwały, i cisza a ład panowały znów w mrowisku. Pewnego dnia spostrzegłam, że na „nasze mrowisko“ spada armia brunatnych mrówek. Skąd się wzięły, niewiadomo. Cóż za walka! Boże drogi, co za rzeź! Istne pobojowisko! W przerażeniu, z zapartym oddechem, z lękiem nieopisanym, przypatrywałam się tej walce, aż tu nagle ktoś szarpnął mię za rękę... Była to p. Eufrozyna. Wołała mnie już od dłuższej chwili —: ze wzruszenia nic nie słyszałam... I oto przyszła po mnie, bo była to godzina lekcji. Cóż, bym była wtedy dała za to, gdybym się była mogła zmienić w taką małą mrówkę i w walce wziąć udział; móc zabić jak najwięcej tych szkaradnych, brunatnych mrówek, a bronić domostwa moich przyjaciółek, mrówek czarnych! Teraz jednak przypatrywałam się brunatnym mrówkom, które maszerowały w szeregu, jak żołnierze — gdy nagle, prawie u moich nóg, zobaczyłam jaszczurkę. O małego, a byłabym ją zdeptała! „Jaszczurka jest przyjacielem człowieka“. Zdanie to odpisywałam nieraz jako zadanie kaligraficzne i dlatego to dla każdej spotykanej jaszczurki miałam uczucia przyjazne. Raz chciałam się nawet bliżej z jaszczurką zapoznać i schwycić ją w rękę, ale, niestety, tylko ogon został mi w dłoni! Uciekłam, pełna wstrętu i przestachu, że popełniłam zbrodnię! Od tego czasu podziwiałam jaszczurki z daleka, lecz dotknąć się ich nie śmiałam już!

Wciąż przed siebie idąc, zbierałam kwiaty; bukiet mój był już olbrzymi i zaczynał mi ciężyć; nogi także mi ciężyły, w uszach szumiało... I właśnie wychodziłam na polankę. — Tu będzie dąb, dywan i p. Eufrozyna! — pomyślałam. Ale nie, miejsce to było mi nieznanne. Cień wysokich drzew przysłaniał całą polankę; trawa, kwiaty, a nawet liście drzew i krzewów miały jednolity odcień różowy. Przeleciała mi przez głowę myśl, jak błyskawica: to za-



chód słońca! Na wyjeździe matka rzekła do p. Eufrozyny: „Nadewszystko proszę, byście się nie spóźniły i wróciły przed zachodem, gdyż w lesie jest wielka wilgoć i byłabym w śmiertelnym strachu, gdybyście nie wróciły przed zmierzchem“. W tej chwili więc p. Eufrozyna szuka mnie zapewne. — Proszę Pani, tu jestem! — krzyczałam ze wszystkich sił. Głos mój rozlegał się dalekiem echem. Nasłuchiwałam, nikt nie odpowiadał na moje wołanie! Nigdy jeszcze nie byłam nieposłuszna wobec matki; zdawało mi się, że mi się to nigdy przytrafić nie może... Należało wrócić koniecznie na czas, by zapobiec takiemu nieszczęściu!... Zeszłam więc z polanki i starałam się wrócić na drogę, którą tu przybyłam. Lecz jak odnaleźć ją pośród krzewów i wysokich traw? A las stawał się coraz ciemniejszy! Szłam jednak odważnie naprzód, odgarniając gałęzie, kalecząc sobie palce o ciernie. Tomek Paluch przychodził mi na myśl: przezorniejszy on był odemnie; idąc bowiem, rzucał kamyczki po drodze i tym sposobem drogę odnalazł. A wilkołak, co to o mału co nie pożarł Tomka i jego braci? Uśmiechnęłam się na tę myśl: nie wierzyłam już w wilkołaki! — Ale zbójcy, ale Piquillo Aliaga? Dreszcz mnie przeszedł od stóp do głowy. A nuż spotkam zbójców w tym gęstym lesie? A nuż przywiążą mnie do drzewa i podpalą je? Szłam wciąż, lecz drżałam na całym ciele i dzwoniłam zębami... Jednakże, po chwili zastanowienia się uspokoiła mnie myśl, że Piquillo miał sakiewkę napełnioną złotem, którą mu zbójcy zabrali, ja zaś nie mam ani grosza. — „Jeżeli więc spotkam rabusiów, mówiłam sama do siebie, śmiejąc się z mojej tak wielkiej jeszcze przed chwilą trwogi, ukłonię się im pięknie i powiem: Panowie zbójcy, jeżeli chcecie, weźcie mój bukiet!...“ Ten bukiet z chwili na chwilę ciążył mi coraz bardziej; pragnęłam wprawdzie gorąco ofiarować go matce za powrotem do domu, ale nie miałam sił dźwigać go dłużej. Złożyłam go więc na trawie, i szłam dalej.

Od czasu do czasu stawałam, wołając, nawołując i na-

słuchując, czy nie otrzymam jakiejś odpowiedzi! Nic! — cisza wokoło — cisza, którą przerywał tylko śpiew ptaków. Las rozbrzmiewał trełami i rytmami słowików, lecz już ich nie słuchałam. Nieokreślona trwoga ogarnęła mnie, nadmierne zmęczenie ubezwładniało moją energię. Zaczęłam wołać ponownie i teraz odpowiadały mi nocne ptaki. Słyszałam złowrogie „Pohowan“ — krzyk sowy... Piastunka moja wytłomaczyła mi kiedyś, że okrzyk ten zwiastuje śmierć i że to małoruskie „pohowan“ znaczy: „pochowany“. Czy to mnie pogrzebią? pytałam się sama siebie, więcej zdziwiona, niż smutna. Myślałam o małej Marfie, córce praczki, ładnej pięcioletniej dziewczynce, z którą się czasami bawiłam. Pewnego dnia powiedziano matce mojej, że wpadła do balii, napełnionej wrzącą wodą; po dwóch dniach przyszli powiadzić, że umarła. Nie zrozumiałam wcale, co to miało znaczyć „umarła“, lecz wstydziłam się przyznać do niewiedomości i o wytłomaczenie nie prosiłam. Między dwiema lekcjami wybiegłam ukradkiem i stanęłam u drzwi pralni. Nagle dzwony poczęły dzwonić. Wszystkie praczki porzuciły robotę i pobiegły w stronę ogrodu, który się ciągnął wzdłuż drogi. „To małą Marfę niosą na cmentarz“ — powiedziała mi jedna z nich, przechodząc koło mnie. Spieszyły wszystkie do kościoła. Nie śmiałam iść z nimi, ale wyszłam z ogrodu i poszłam w przeciwnym kierunku, to jest drogą, prowadzącą z kościoła do domu, w którym mieszkała mała Marfa. Zbliżywszy się do owego domu, zobaczyłam chłopca, który właśnie z domu wychodził, niosąc na ramionach długie, żółte pudło. Ogarnęła mnie ciekawość nieprzeparta... Chciałam koniecznie wiedzieć, co takiego niósł, co było w tem pudle? Kilka dni temu otrzymałam od stryja nową, błyszczącą monetę srebrną. Nigdy jeszcze nie posiadałam pieniędzy i nie wiedziałam, co z tem począć. Teraz zaświtała myśl... Wyjęłam monetę z kieszeni i zbliżywszy się do chłopca rzekłam mu: „Dam wam tę monetę, jeżeli mi pokażecie, co niesiecie w tem pudle!“ Chłop przystanął i spojrzął na mnie ze zdziwieniem. Wiedział, że jestem



córką jego pana (był poddanym mego ojca, bo było to jeszcze przed zniesieniem pańszczyzny w Rosyi), mimo to żądanie moje wydało mu się bardzo niewłaściwe. Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głowy, poczem rozejrzał się wokoło. Kościół znikał w dali za drzewami — droga była pusta... Ostrożnie postawił na ziemi pudło-trumienkę i unióśł wieko. Na białej poduszce leżała mała Marfa. Twarz, żółta jak воск, miała sine pręgi; złożone rączki trzymały krzyż z drzewa. Wyglądała jak duża, bardzo brzydka lalka. Widok ten zupełnie mnie nie wzruszył — i teraz jeszcze nie rozumiałam. Byłam poniekąd rozczarowana — spodziewałam się zobaczyć coś bardziej zajmującego. Dałam pieniądź chłopu. Wsunął go niedbale do kieszeni, wziął trumienkę napowrót na ramiona i ruszył w stronę kościoła. Obraz ten niedawno widziany, a wywołany w tej chwili przed oczy moje przez krzyk sowy, i teraz nie rozczulił mnie. I teraz nie wiedziałam, co to jest śmierć, i nie pojmowałam, jaki jest związek między lalką żółtą, nieruchomą i zimną, ułożoną w trumience, a ładną, małą dziewczynką, z którą się dawniej bawiłam.

Sowa wołała znowu. Nigdy nie widziałam sowy. „Oczy jej świecą w nocy, jak żarzące się węgle“, opowiadała mi nianka. „Świecą jak oczy wilka!“ — Ach tak, wilki! — Dotychczas jeszcze o nich nie myślałam. I przypominała mi się znów wilczyca Romulusa i Remusa. „Była to dobra wilczyca i jeżeli zobaczą wilczycę, wychodzącą z gęstwiny, nie będę jej się bała“ — mówiłam do siebie, by dodać sobie odwagi. Lecz nagle pomyślałam także o „Czerwonym kapturku“. Bo też o wilki nietrudno w naszych lasach: co roku płatały nam figle! Nie dawniej niż ostatniej zimy pastuch nasz, duży chłop, otulony w kożuch, przyszedł opowiedzieć matce, że wilki w nocy porwały dwoje jagniąt i małą sarenkę z samej obory. „Latoś zima jest bardzo ostra, proszę Wielmożnej Pani — mówił pastuch, mnąc w ręku czapkę baranią — wygłodniałe wilki wychodzą z lasu i we wieś aże idą po strawę!“ Wilki wychodzą więc z lasu

w zimie — są zatem w lesie latem... Są ukryte gdzieś w tym oto lesie... Rozumowanie to odebrało mi resztę odwagi i energii. Nagle siły mnie opuściły i nie mogąc już uczynić ani kroku, osunęłam się na ziemię, pod drzewem. Myślałam o wilkach i o tem, że mnie pożrą. Myśl o śmierci nie przestraszała mnie, gdyż nie wiedziałam przecieź, co to jest śmierć. Bałam się tylko, że wilki będą mnie kąsały, a co to jest ukąszenie, wiedziałam dobrze. Wiedziałam, że to rzecz, która boli bardzo, bo ugryzł mnie już raz pies. I gdy o tem wspomniałam, w niwecz poszły wszystkie dobre zasady „rozumnej“ dziewczynki. Zaczęłam płakać tak, jak gdyby już szarpały mnie kły kilku wilków...

Nagle z oddali doleciał mnie gruby głos wołający: „Hoła!“ Jeszcze teraz wydaje mi się, że drogi ten głos słyszę! Był to Dymitr, ulubiony służący ojca. Nie mogłam jednak już opanować zbyt silnego zdenerwowania i nie mogłam powstrzymać łkania.

Z pomiędzy gałęzi wyrzała latarnia i pochyliła się nademną okrągła, dobra i uszczęśliwiona twarz Dymitra. Wziął mnie na ręce i biegł co tchu przez las do karety. Tu złożył mnie na kolanach pokojówki, która zaraz zaczęła otulać mnie w szale... Przysłała ją matka, zalecając, aby mnie dobrze okryła przed chłodem nocy.

W kącie karety, w cieniu, spostrzegłam zagniewaną twarz panny Eufrozyny. Głosem syczącym od gniewu, powiedziała mi: „Za karę, że mnie nie słuchałaś i oddaliłaś się mimo mego zakazu, przepiszesz, moja panno, jutro 500 wierszy, a to prócz kary, którą wymierzy ci matka, gdy dowie się o twojem zachowaniu. Zresztą wie już o niem, gdyż wysłałam konnego posłańca z wiadomością, żeś w lesie zblądziła!“

Być karaną przez pannę Eufrozinę był to dla mnie chleb powszedni i uważałam, że to rzecz całkiem naturalna. Ale matka nie karała mnie prawie nigdy... Co też ona powie? Dreszcz mnie przechodził na samą myśl, że piękne jej niebieskie oczy, które spoglądają na mnie zawsze z taką



młością, spojrzę na mnie teraz z wyrzutem... Co pocznę, gdy stanę przed nią? Czy paść mam przed nią na kolana? Miałam wstręt niepokonany do wszystkich scen, w których trzeba było prosić o przebaczenie... Nie, nic nie powiem — niech spada kara! — A jeżeli dostanę różgi? Zacisnę zęby, żeby nie krzyżeć. Jednak myśl, że mogą mnie bić, rzuciła mnie w dziką rozpacz; o niczem już rozmyślać nie mogłam, drżałam i dzwoniłam zębami...

Kareta zatrzymała się przed domem. Tu czekała matka, i zanim zdążyłam wysiąść, chwyciła mnie na ręce i zaniósła do swego pokoju. Ściskając okrywała mnie pocałunkami... To niespodziewane przyjęcie, ta słodka tkliwość po silnych, dopieroco przebytych wzruszeniach podziały na mnie kojąco i w ramionach matki z oczu moich płynęły już tylko ciche łzy. W godzinę później usypiałam w mojem łóżeczku; matka trzymała mnie za rączki, ogarniając mnie młości pełnem spojrzeniem.







## DODATKI





## DODATEK A.

---

### PRZYPISKI.

a) str. 54. Od rodziny Miliutinów Zofia Kowalewska przejęła następującą wersję o Sierakowskim: Zygmunt Sierakowski, syn powstańca z 31 r., dzięki zdobytej fortunie, pracowicie dokończył studyów. Obdarzony świetnym talentem oratorskim wywierał wielki wpływ na otoczenie. Już jako student uniwersytetu petersburskiego usiłował w 1848 roku przekroczyć granicę, w celu połączenia się z powstaniem polskim 1848 r. Wskutek donosu aresztowany, pod eskortą odwieziony do Petersburga, skazany do karnych bataljonów pułku uralskiego, jako prosty szeregowiec tam poznał rosyjską dyscyplinę wojskową. W oczach jego wykonywano kary cielesne na żołnierzach, nawet na politycznych przestępcach. Zagnany na pogranicze europejskiej Rosyi, biedny, pozbawiony wszelkiego oparcia, marzy o zreformowaniu kodeksu rosyjskiego, o zniesieniu kary cielesnej, określanej tak często jako rdzeń rosyjskiej dyscypliny wojskowej. Wojna krymska, wstąpienie na tron Aleksandra II-go, powodują powszechną amnestyę. Sierakowski, któremu teraz dozwolony jest powrót do Petersburga, wstępuje do tamtejszej akademii wojennej. Po dwóch latach opuszcza ją z tytułem kapitana, w randze majora. Wkrótce nieznużona jego wytrwałość i niezwykła pilność sprawiają, że powie-

rzony mu jest wypracowanie reformy kodeksu wojskowego. Komisya, mająca rozstrzygać o reformie, przyjmuje projekt Sierakowskiego, car potwierdza go i autorowi składa powinszowanie. Odtąd sława i honory ścielą się Sierakowskiemu pod nogi. Żeni się z młodą Polką, którą kocha. Szczęście towarzyszy każdemu jego krokowi, — gdy nagle w 1863 r. wybucha powstanie.

Z wszystkiego rezygnując, Sierakowski wręcza Miliutinowi prośbę o dymisyę i podaje jako motyw, że przyłączyć się chce do powstania. „Polska — powiada — potrzebuje wszystkich swoich synów. Za kilka tygodni podpisze Pan mój wyrok śmierci, lecz szanować mnie Pan nie przestanie“.

kilku tygodniach Sierakowski, wzięty do niewoli, skazany został na śmierć przez powieszenie.

b) str. 55. Ludwik Waryński urodził się w 1856 roku w Kijowskiem. Wstąpiwszy w r. 1875 do Instytutu Technologicznego w Petersburgu, zetknął się tu poraz pierwszy z ruchem rewolucyjnym rosyjskim. W końcu tegoż roku wydano go z Petersburga za udział w rozruchach studenckich. Pod koniec 1875 roku przybywa Waryński do Warszawy, rozpoczyna propagandę wśród robotników i zakłada pierwszą organizację socjalistyczną. Program socjalistów polskich z r. 1879, tak zwany „program Brukselski“, powstaje przy jego udziale. Na początku r. 1879 aresztują Waryńskiego w Krakowie i oddają pod sąd. Odbywa się słynny proces Ludwika Waryńskiego i 33 towarzyszy, proces, zakończony uwolnieniem wszystkich oskarżonych. Waryński udaje się potem do Genewy, gdzie przebywa do roku 1881, biorąc udział w redakcyi „Równości“, potem „Przedświtu“. Za powrotem do Warszawy rozbudza na nowo ruch, osłabiony przez niedawne areszty i zawiązuje partyę „Proletaryat“. Powstają, dzięki jego zabiegom, komitety robotnicze naprzód w Warszawie, potem w Łodzi, w Zgierzu i Tomaszowie, a w r. 1884 zwierzchni dla całego kraju

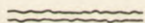


„Komitet centralny“. Jednocześnie Waryński jeździ w celach partyjnych za granicę i utrzymuje żywe stosunki z polską emigracją socjalistyczną. We wrześniu 1883 r. ukazuje się pierwszy numer pierwszego socjalistycznego pisma w kraju, pod nazwą „Proletaryat“.

Tegoż samego miesiąca Waryńskiego aresztują w Warszawie. Skazanego na 16 lat ciężkich robót, osadzono w Schlüsselburgu, gdzie umarł w lutym 1889 roku.

c) str. 64. Ludwik Janowicz, urodzony w r. 1859 na Litwie, jako student akademii rolniczej w Moskwie przystąpił do „Narodnej Woli“; później brał czynny udział w przeprowadzeniu sojuszu między tą partią i „Proletaryatem“, którego był członkiem jednym z najwybitniejszych.

Aresztowany w r. 1884, skazany został na 16 lat katorgi i wraz z Waryńskim zamknięty w „Kamiennych workach“ Schlüsselburga. Stąd po 10-letnim pobycie wywieziony został na osiedlenie do północnych krańców ziemi Jakuckiej. Na wygnaniu, jako zamiłowany statystyk, zbierał materiały do dzieła o przemyśle w Królestwie Polskiem, z których wyciągi drukował w pismach rosyjskich. Napisał ciekawe wspomnienia. Człowiek o przedziwnej, krystalicznej czystości charakteru. Zastrzelił się w Jakucku, dokąd przeniesiono go z Kołymska, w maju 1902 roku.



## DODATEK B.

---

Drukujemy tu dwa listy pani Leffler-Cajanello, autorki szkicu biograficznego o Zofii Kowalewskiej, gdyż tłumaczą one, dlaczego Marya Mendelsonowa poczuła się w obowiązku sprostowania fałszywie przez p. Cajanello naszkicowanej sylwetki wielkiej uczonej rosyjskiej.

Pierwszy list pani Cajanello pozostał bez odpowiedzi: Marya Mendelsonowa na list taki odpowiedzieć nie mogła. Nadszedł drugi list. Wtedy dopiero M. M. odpisała, objaśniając, jaką w jej oczach była Zofia Kowalewska, jaką ją poznała i widziała. Pani Cajanello nie opuściła jednak stanowiska, na którym stanęła, oczekując wciąż wiadomości „złych“ o Kowalewskiej.

Gdy zjawiała się książka pani C., a w niej ustęp o zawści Kowalewskiej w stosunku do Maryi Mendelsonowej, ta ostatnia zdecydowała się wystąpić z pośredniem sprostowaniem fałszu w szkicu, który Oskar Bie, redaktor „Neue Deutsche Rundschau“ wydrukował w tymże miesięczniku.

1.

Napoli, Palazzo Fiodo, Via Tasso.  
12. I. 1892.

Kochana Pani!

Mam nadzieję, że Pani przypomina sobie przyjaciółkę Soni K., która razem z nią i z Panią spędziła kilka tak



bardzo przyjemnych dni w Paryżu na Boże Narodzenie 1889 i z początkiem 1890 r. Zapewne wiadomo Pani, że byłam najbliższą przyjaciółką Soni podczas jej pobytu w Sztokholmie, — przyjaciółką, której opowiadała wszystkie szczegóły swego życia i powierzała najtajniejsze swoje myśli. Często powtarzała wtedy: „Napiszesz historię mego życia, gdy mnie nie będzie“. Uważam sobie tedy za święty obowiązek, by zebrać wszystko, co da się tylko zebrać o tej epoce jej życia, w której jej nie znałam, jak również o czasie, który spędziła zdala odemnie. Udałam się do wszystkich przyjaciół po odnośne informacje, udaję się też i do Pani z prośbą, aby Pani zechciała mnie zapoznać z ważniejszymi wypadkami z życia Soni, jakoteż z niektórymi rysami charakteru naszej wspólnej przyjaciółki. Pani wie, że Sonia zaliczała Panią do najukochańszych przyjaciół. Pani, Julia Lermontow i ja, byliśmy — tak mniemam — najbliższymi jej ludźmi i jedynymi, których uważała za bliskich.

Panna Lermontow była na tyle uprzejmą, że spisała dla mnie pamiętnik dość szczegółowy o czasach pierwszej swojej z Sonią znajomości, jak również o czasach wspólnie z Sonią przeżytych. Czy będzie Pani miała dość czasu, aby uczynić to samo? Może mi Pani powierzyć wszystko, co Pani wie lub co Pani zauważyła w Soni, bez obawy, bym nadużyła Jej zaufania — : postaram się oczywiście, by obraz naszej przyjaciółki był sympatyczny dla czytelników, wzmianka o jej błędach, ze strony Pani, posłużyłaby tylko dla mego osobistego zorientowania się i dla lepszego zrozumienia tego dość skomplikowanego charakteru. Czy mogłaby mi Pani jeszcze oddać tę przysługę i postarać się o adres Wiery Gontscharow, która zapewne będzie mogła mi podać bardzo zajmujące szczegóły, gdyż Sonia odegrała w jej życiu wielką rolę.

Ufam, że mi Pani wybaczy, iż śmiem Ją trudzić — ale czynię to w interesie naszej drogiej zmarłej, aby biografja jej stanowiła, o ile możliwości całość, z prawdą zgodną.

ałączam uprzejme ukłony dla pana Mendelсона, a dla  
Pani wyrazy szczerzej przyjaźni

Oddana Pani

Anna Carlotta Lefler D-ssa di Cajanello.

2.

Napoli, Palazzo Fiodo, Via Tasso.

20 marca 1892.

Kochana Pani!

12-go stycznia wysłałam do Pani list pod adresem  
pana Lawrowa w Paryżu. Nie otrzymawszy dotychczas od-  
powiedzi, pozwałam sobie powtórzyć prośbę, z którą się  
do Pani zwróciłam, przypuszczam bowiem, że pierwszy list  
może nigdy Pani nie dojdzie. Chcę wykonać ostatnią wolę  
naszej drogiej Soni Kowalewskiej i dokończyć jej pamiętni-  
ków. Rozpoczynają się od 15 roku jej życia, — chciała, aby  
były doprowadzone aż do jej śmierci. Co się tyczy ostat-  
nich lat, które spędziła w Sztokholmie, nie mam żadnych  
trudności, bo żyłyśmy w najściślejszej przyjaźni. Jest jednak  
znaczna część jej życia, o której zachowałam mgliste tylko  
wspomnienie, oparte na poszczególnych, opowiedzianych mi  
przez Sonię, rysach. Zwróciłam się więc do wszystkich jej  
przyjaciół z prośbą, aby zechcieli mnie wesprzeć zasobami  
swojej pamięci, i mam nadzieję, że i kochana Pani nie od-  
mówi mi i poświęci mi kilka dni pracy, tembardziej, że  
zaliczała się Pani do najukochańszych przyjaciół Soni. Dla  
wszystkich, którzy kochali i podziwiali Sonię, jest chyba rze-  
czą ważną, aby przyszłe pokolenia znały jaknajwierniejszy  
i jaknajbardziej szczegółowy obraz jej życia i jej chara-  
kteru. Oto dlatego śmiem trudzić kochaną Panią. Sonia  
powtarzała mi często, że posiada tylko trzech przyjaciół  
w całym tego słowa znaczeniu: ci przyjaciele — to Pani,  
Julia Lermontow i ja. Pani Lermontow oddała mi wielką  
przysługę, dostarczając mi biografii, — by ją uzupełnić,  
w Pani pokładam nadzieję. Bardzoby mnie też cieszyło,



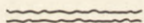
gdyby mi Pani udzieliła wiadomości o sobie. Jak się Państwu wiedzie, Pani i panu Mendelsonowi, czy jesteście zadowoleni z pobytu w Londynie?

Bardzo miłe wspominam przyjemne dni, spędzone razem z Państwem i ze Sonią podczas naszego pobytu w Paryżu, na Boże Narodzenie 1889 r. Co do mnie, jestem bardzo szczęśliwa. Oczekuję narodzenia się mego pierwszego dziecka w maju i dlatego spieszno mi skończyć pamiętniki Soni przed tym terminem.

Załączam uprzejme ukłony dla pana Mendelsoona.

Szczerze Pani oddana

D-ssa di Cajanello-Lefler.







## PODOBIZNY.

---

	Str.
Marya Mendelsonowa — przed tytułem.	
Dominika z Kwiatkowskich Zaleska . . . . .	3
Wincenty Zaleski . . . . .	6
Aleksander Zaleski . . . . .	7
Ellen Key . . . . .	20
Piotr Lawrow . . . . .	33
Zofia Kowalewska . . . . .	35
Szymon Dikstein . . . . .	58
Jerzy Vollmar i żona jego Julia z Kjelbergów . . . . .	77

---





## SPIS RZECZY.

---

	Str
O Maryi Mendelsonowej . . . . .	1
Wspomnienia o Zofii Kowalewskiej.	
Wstęp . . . . .	23
Część pierwsza . . . . .	27
Część druga.	
Cytryna . . . . .	99
Wzruszenia wiosenne . . . . .	105
Dodatki.	
Dodatek A. Przypiski . . . . .	121
Dodatek B. Dwa listy p. Lefler-Cajanello . . . . .	124

---

